

KONKRETY

nr 51
52

*Wesołych Świąt
i Do Siego
Roku!*

ROK VI (NR 291—292)

23 GRUDNIA 1977 r. — 5 STYCZNIA 1978 r.

CENA 4 Zł.

Czy tu można być szczęśliwym? Szczęśliwym? Złe powiedziane. Szczęście zostało gdzieś daleko. Kilkadziesiąt lat życia pozwala inaczej patrzeć na szczęście. Było — kiedyś, w młodości. A teraz jest spokój. Wreszcie spokój. (może to jest jakaś namiastka szczęścia. To już dużo w tym domu pełnym ludzi starych; ludzi chorych; ludzi samotnych...

Ten dom jest od życia odległy. Jakże nieistotne i błahе wydają się nasze problemy tym dziewięćdziesięciu pensjonariuszom pałacyku w Mierzychowcach. Pieniądze, sława, sukces — gdzieś kiedyś może. Teraz już nieważne.

— Bo tu się już na nie nie czeka — powie mi stara kobieta.

Prawda to i nieprawda. Prawda niedopowiedziana. Niedobrze byłoby powiedzieć na co się tu czeka. Wiąc się nie mówi. Stara kobieta wie, że i tak jest zrozumiana.

Święta! W każdym domu choinka. Pod choinką upominki. Od kochającej rodziny. Święta są rodzinne.

Str. 13



SPOTKANIE członków Sekretariatu KW PZPR w Legnicy z młodymi rolnikami odbyło się we wtorek 20 grudnia w Miejskim Ośrodku Kultury w Chojnowie. Było ono poświęcone intensyfikacji produkcji rolnej i wprowadzaniu nowoczesnych form gospodarowania na wsi. Podczas spotkania 231 młodych rolników z województwa, przekazanych przez ZSMP w poczet kandydatów PZPR, otrzymało z rąk I sekretarza KW PZPR Stanisława Cieślaka legitymacje partyjne.

UROCZYSTA akademii z okazji 25-lecia odbyła się 17 grudnia w Zakładach Metalurgicznych w Przemkowie. Wzięli w niej udział m. in. przewodniczący WKKP Antoni Malicki i przewodniczący WRZZ Piotr Czaja. W czasie akademii Jan Cieślak, Stanisław Skraba i Edward Kowalski otrzymali Złote Krzyże Zasługi, Franciszek Matwiejew — Srebrny i Janina Zdebska — Brązowy.

SESJA naukowa na temat życia i działalności Konstantego Rokossowskiego odbyła się w środę 21 grudnia w Gabiniecie Metodycznym w Legnicy. Jej organizatorami byli: Wojewódzki Ośrodek Kształcenia Ideologicznego KW PZPR, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego oraz Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Legnicy.

PREZYDIUM WRN w Legnicy przyznało na wtorkowym posiedzeniu pierwsze odznaki Za Zasługi dla Województwa Legnickiego. Zostaną one wręczone 29 grudnia br.

PIERWSZE posiedzenie Wojewódzkiej Komisji Wyborczej odbyło się we wtorek 20 grudnia br. pod kierownictwem przewodniczącego WRN, I sekretarza KW PZPR w Legnicy Stanisława Cieślaka, który wręczył członkom komisji akty nominacyjne.

PODSUMOWANIE konkursu „Zakład pomaga szkole” odbyło się 20 grudnia w ZSG w Lubinie. Puchary: WRZZ otrzymał Zakład Remontowo-Montażowy w Lubinie; Legnickiej Komendy Chorągwi ZHP — Kombinat Przedsiębiorstw Rolnych w Kunicach; Kuratorium Oświaty i Wychowania — Kamieniołomy Drogowe w Złotoryi; ZG ZNP — Zakłady Metalurgiczne w Przemkowie. Ponadto wręczono zbiorowe i indywidualne odznaki „Przyjaciel szkoły”.

CZŁONKOWIE ZSMP w Prochowickich Zakładach Drobiarskich dodatkowo wyprodukowali 4 tony „Pasztetu prochowickiego” a ich koledzy z PZB „Renifer” uszyli 20 marynarek skórzanych. Oba zobowiązania o łącznej wartości 700 tys. zł zostały podjęte dla uczczenia II Krajowej Konferencji Partyjnej, a wykonane w niedzielę 11 grudnia br.

LAUREATAMI XVI Olimpiady Wiedzy Rolniczej zostali: Andrzej Mazur z gminy Zagrodno, Stanisław Krzemiński z gminy Żukowice i Stanisław Wolski z gminy Grębocice. Eliminacje finałowe odbyły się 18 grudnia w Miejskim Ośrodku Kultury w Głogowie, a w całym województwie wzięło udział ponad 2500 dziewcząt i chłopców z województwa legnickiego.

NAGRODY rzeczowe wylosowane wśród uczestników ankiety na temat wyglądu Lubina w przyszłości otrzymali: Katarzyna Tefil, Helena Korbicz, Stanisław Onacki, Michał Nieronow, Jan Michalski i Andrzej Szczygielski. Gratulujemy!

JÓZEFA, a nie jak podaliśmy — Zofia ma na imię pani Rączkowska, tegoroczna „Najpopularniejsza Baba Roku” z ZG „Rudna”. Jak widać, mimo końca roku, chochlik drukarski nie śpi. Za zmianę imienia przepraszaamy.

SIEDZIBA „Konkretów” — zmieniona. Od 1 stycznia macierzysta redakcja mieścić się będzie w Legnicy, Rynek 51, zaś oddział w Lubinie — przy ul. Armii Czerwonej 4/4.

Następny numer „Konkretów” ukaże się 6 stycznia 1978 r.

KONKRETY

ROKU 1977

W lutym przekazano do eksploatacji pierwszy etap największego z dotychczasowych, szóstego przemysłowego zbiornika odpadów poflotacyjnych w zagłębiu miedziowym — Żelazny Most, jednej z większych w zagłębiu inwestycji 10-lecia.

Po raz pierwszy w kraju została w lutym zastosowana do wypychania sieci szbowej (szyb zachodni kopalni „Lubin”) metoda opracowana przez specjalistów PBMH. Dzięki niej operacja trwała tylko 4 dni.

W marcu Huta Miedzi „Głogów I” wzbogaciła się o urządzenie techniczne do odbioru i selekcji brył przeznaczonych na drut. Dzięki wynalazkowi, autorstwa zespołu inżynierskiego huty, możliwości produkcyjne wydzielu wlewków wzrosły o 50 proc.

W kwietniu odbyło się w Lubinie II Międzynarodowe Sympozjum na temat gospodarki zasobami miedzi. Oprócz przedstawicieli Polski wzięło w nim udział około 100 delegatów reprezentujących kilkanaście firm zagranicznych, m. in. ZSRR, USA, Finlandii, Rumunii, Jugosławii, Anglii.



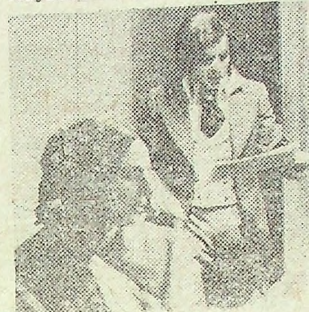
1 sierpnia województwo legnickie zostało dotknięte klęską powodzi, którą spowodowała milionowe straty. Pierwsze zostały zalane wsie w pobliżu Złotoryi. W wyniku klęski pod wodą znalazły się tysiące hektarów.

Z miast najbardziej ucierpiała Legnica. Kulminacyjna fala dotarła do miasta w nocy z 3 na 4 sierpnia. 5 sierpnia woda zaczęła opadać. Miasto powoli wracało do normalnego życia. A potem orzyszała następna seria opadów. Przed powtórną powodzią uratował Legnicę jej mieszkańiec Romuald Świątek, który zawiadomił odpowiednie władze o wyrwie, jaka wytworzyła się w wale ochronnym nad Kacząwą. Otrzymał za to nagrodę prezydenta miasta.

Miejski Ośrodek Kultury w Głogowie, w którym ma swoją siedzibę Robotnicze Centrum Kultury, został otwarty 21 maja. W uroczystości uczestniczył m. in. kierownik Wydziału Kultury i Sztuki KC PZPR Lucjan Motyka.

21–24 czerwca przebywała w województwie legnickim delegacja Starej Za-

gory z członkiem KC BPK I sekretarzem Komitetu Okręgowego BPK, Włocław Najdenowem na czele.



Oficjalna inauguracja działalności stałej sceny w Legnicy odbyła się 27 listopada br. Premierowym przedstawieniem było „Lato w Nohant” Jarosława Iwaszkiewicza.

23 czerwca WRN ustanowiła strefy czyste w 5 rejonach województwa legnickiego: Dalkowskich Jarach, Uroczysku Obiszów, Ostrzycy, Proboszczowickiej, Wąwozie Myśluborskim i Wilczej Górze.

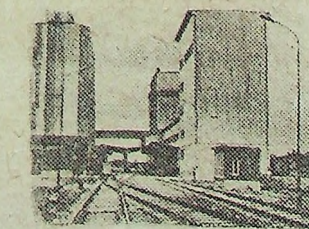
4 lipca członek Biura Politycznego, wicepremier Jan Szydłak i I sekretarz KW PZPR w Legnicy Stanisław Cieślak wręczyli 100 przodującym pracownikom przemysłu miedziowego indywidualne Karty Dokonań. Stanowią one ważną formę satysfakcjonowania ludzi dobrej roboty.

Mimo powodzi, której skutki z oddaniem likwidowało całe społeczeństwo województwa, już na początku października został wykonany, a nawet przekroczony plan skupu zbóż.

Nowy rok akademicki w Legnicy rozpoczęło w październiku 410 studentów, a wśród nich 150 słuchaczy I roku, których uroczystie immatrykulowano. Rozdano też 75 dyplomów tegorocznym absolwentom filii Politechniki Wrocławskiej, działającej już dziesiąty rok.

Cukrownia „Jawor” pierwsza na Dolnym Śląsku rozpoczęła 16 września „słodką” kampanię.

Z okazji 30-lecia polskiego przemysłu muzycznego 17 września na uroczystości do Legnicy przybyli: członek

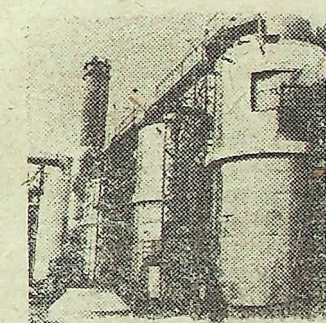


W listopadzie w Ujeździe Dolnym oddano do użytku nową wytwórnię pasz przemysłowych o zdolności produkcyjnej 60 tysięcy ton rocznie.

Biura Politycznego KC PZPR, wicepremier Józef Tejchma, wiceminister Tadeusz Kaczmarek oraz przewodniczący Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki — Mariusz Dmochowski.

Tylko w ciągu kilku dni trzeciej dekady września załogi oddziałów G-2 ZG „Rudna” i G-13 ZG „Polkowice” łącznie wydobły dodatkowo ponad 4200 ton rudy miedzi, a załogi oddziałów wydobywczych G-2 i G-3 oraz pomocnicze MD-1 i MD-11 kopalni „Lubin” dały dodatkowo produkcję wartości ponad 400 tys. zł.

15 listopada, 40 dni przed planowanym terminem, brygady przedsiębiorstwa Budowy Kopalń „Częstochowa” zakończyły drażenie najdłuższego w miedziowych kopalniach chodnika, tzw. centralnej upadowej w ZG „Lubin”. Jego drażenie rozpoczęło w marcu 1973 r. Centralna upadowa pozwoli na wcześniejsze rozpoczęcie eksploatacji nowych obszarów złoża rudy.



21 października „Konkrety” poinformowały że blok tlenowy w Hucie Miedzi „Głogów II” pomyślnie przeszedł próbe zimną oraz próbe szczelności. Był to okres drugiej próby mrożenia i 24 października rozpoczęły się prace izolacyjne. 7 listopada uroczystie oddano do użytku pierwszy w hucie blok tlenowy oznaczony numerem 20. 17 listopada w obecności I sekretarza KW PZPR w Legnicy Stanisława Cieślaka i wiceministra Janusza Bojakowskiego rozpoczęło nagrzewanie pieca elektrycznego 17 grudnia rozpalono piec zawieszony przed próbą generalnego rozruchu.

21 listopada oddano w Lubinie przejście naziemne, którego wykonawcą było Przedsiębiorstwo Budowlano-Montażowe Hutnictwa. Budowa została skrócona o 10 miesięcy. Przejście umożliwia bezpieczną komunikację pieszą między Przylesem a centrum Lubina.

29 listopada w Hucie Miedzi „Legnica” pierwszy rafinierz pieca anodowego, Roman Adamek dokonał uroczystego spustu milionowej tony miedzi.

Tegorocznym laureatem plebiscytu na Najpopularniejszego Górnika Zagłębia Miedziowego został Władysław Rościński, górnik strażnicy Zakładów Górniczych „Lubin”.

DOROBKI I ZADANIA



Fot. K. Rączkowiak

W ubiegły poniedziałek odbyło się plenarne posiedzenie Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Legnicy. Obrady, którym przewodniczył I sekretarz KW tow. Stanisław Cieślak, były poświęcone realizacji tegorocznych zadań społeczno-gospodarczych regionu i stanowiły przygotowanie wojewódzkiej organizacji PZPR do II Krajowej Konferencji Partyjnej. Po referacie Egzekutywy KW PZPR, wygłoszonym przez tow. Stanisława Cieślaka, wywiązała się ciekawa dyskusja, w której zabrało głos 9 towarzyszy. Na jej zakończenie wystąpił zastępca kierownika Wydziału Planowania i Analiz Gospodarczych KC PZPR tow. Stanisław Nieckarz. Plenum wybrało 21 delegatów na II KKK, zatwierdziło projekty sprawozdań i uchwaliło na drugą wojewódzką konferencję partyjną oraz podjęło uchwałę wyznaczającą główne kierunki działań, jakie należy podjąć dla zapewnienia dalszego dynamicznego rozwoju województwa w roku 1978. Zamknięcie posiedzenia, I sekretarz KW przekazał na ręce uczestników plenum serdeczne życzenia noworoczne wszystkim ludziom pracy zagłębia miedziowego. Obrady zakończono odśpiewaniem Międzynarodówki.

DELEGACI NA II KKK

Na poniedziałkowym plenarnym posiedzeniu KW PZPR wybrani zostali następujący delegaci wojewódzkiej organizacji partyjnej na II Krajową Konferencję Partyjną:

BOGUMILA ANKLEWICZ — mistrz w DZBR „Renifer” w Prochowicach, ELŻBIETA BEKAŁUK — rolnik ze wsi Krzywa w gm. Chojnowo, JAN BINEK — prezydent m. Legnicy, ZYGMUNT BOBER — przew. ZW ZSMP, HALINA BONECKA — dziewczarka w ZPDZ „Milana”, MARIAN BORAWSKI — dyrektor KBO w Lubinie, BAZYLI BIALOKOZOWICZ — zastępca komendanta wojewódzkiego MO, PIOTR CZAJA — przew. WRZZ, JÓZEF FŁORCZYK — operator maszyn w ZG „Lubin”, BARBARA GAMAŁEJA — rolnik ze wsi Duninów w gm. Krzyżowice, ANDRZEJ GWIŹDZ — suwnicowy w ZKMR w Jaworze, TADEUSZ JEWINIEWICZ — elektromechanik w HM „Głogów”, WŁADYSŁAW KAPLITA — brygadzieta w HM „Legnica”, ALFREDA KORENIK — brakarka w ZPDZ „Hanka”, HENRYK KUBIAK — sekretarz KW PZPR, ALEKSANDRA LOMNICKA — nauczycielka w SP nr 2 w Ścinawie, EUGENIUSZ MARZEC — górnik w ZG „Rudna”, WITOLD MOŻDŻYŃSKI — operator maszyn w ZG „Lubin”, FRANCISZEK NIKODEM — brygadzieta w POM Chojnowo, STANISŁAW NIKONOWICZ — dyrektor Lublińskiego Kombinatu PGR, WŁADYSŁAW ZDOBYŁAK — st. zwrotniczy na stacji PKP w Głogowie.

Ponadto na II KKK nasz region będą reprezentowali członkowie KC PZPR STANISŁAW CIEŚLAK i JOZEF ZAWADA, zastępca członka KC JANUSZ OWCZAREK oraz jako zaproszeni goście MARIA KUSTASZ — sekretarz KW PZPR, JAN MACIĄG — I sekretarz KZ PZPR HM „Głogów”, LEON HORNIK — dyrektor Kombinatu PGR w Legnicy i STANISŁAW SKOWRONSKI — rolnik z gminy Piłgryżymka, członek CKR i Egzekutywy KW.

BRYGADY IM. W. PSTROWSKIEGO

Z czołowymi realizatorami współzawodnictwa pracy w województwie legnickim — w 30-lecie tego ruchu w Polsce — spotkały się w miniony poniedziałek Egzekutywa KW PZPR i Prezydium WRZZ w Legnicy. Obecni byli zastępca kierownika Wydziału Analiz Planowania i Analiz Gospodarczych KC PZPR Stanisław Nieckarz i zastępca kierownika Wydziału Ekonomicznego CRZZ Jan Wasyliczek. O dokonaniach regionu w roku 1977 i zadaniach na rok przyszły mówili I sekretarz KW PZPR Stanisław Cieślak podkreślając rolę współzawodnictwa w rozwijaniu aktywności społeczno-zawodowej. Z inicjatywy KW partii, Wojewódzka Rada Związków Zawodowych nadała 7 brygadam zaszczytne tytuły brygad im. Wincentego Pszrowskiego. Odznaki „Zasłużonego Przewodnika Pracy Socjalistycznej” i „Przewodnika Pracy Socjalistycznej” wręczono 46 najofiarniejszym uczestnikom współzawodnictwa, a 200 osobom — medale przyznane przez WRZZ.



Przodująca pracownica Zakładów Przemysłu Dzwierskiego „Hanka” Helena Czyska odbiera medal z rąk zastępcy kierownika Wydziału Ekonomicznego CRZZ Jana Wasyliczaka.

Fot. Krzysztof Rączkowiak

Kończy się rok 1977, siódmy rok wcielania w życie ambitnego programu społeczno-gospo-

darczego rozwoju Polski socjalistycznej, programu będącego wynikiem strategii obranej przez partię na jej VI Zjeździe. Był to rok dla nas i dla całej gospodarki narodowej niełatwy, trudniejszy od poprzedniego, ale w przededniu Nowego Roku żyjemy wszyscy nadzieją, iż będzie też trudniejszy od przyszłego, 1978. W pierwszym roku nowej pięcioletki powoli zaczęły narastać trudności wzrostu, których nawet najlepszy planista by nie przewidział. Najpierw kryzys energetyczny, potem klęska suszy i nieurodzaju, i artykułów spożywczych (głównie zboża). Wreszcie pogłębiać się zaczęła recesja gospodarcza w krajach kapitalistycznych, wskutek czego coraz trudniej było nam z nimi handlować.

Jednakże nie jedynie czynniki zewnętrzne decydowały o naszej sytuacji ekonomiczno-gospodarczej w ostatnich dwóch latach. W niemałym stopniu miały na nią wpływ nasza rozrzutność i niegospodarność, nieumiejętne ko-

KOMENTARZ

DAĆ Z SIEBIE JAK NAJWIĘCEJ

rzystanie z nowoczesnej techniki i technologii, na które państwo nie założyło nam wcześniej cennych dewiz. Rok 1977 zaznaczył się nadto osłabieniem dyscypliny finansowej, co nie mogło pozostać bez wpływu na równowagę rynkową. Wystarczy powiedzieć, że tylko dwa działy gospodarki: przemysł i budownictwo wypłaciły w tym roku z funduszu płac o 2,5 mld zł więcej niż planowano.

Mimo tych niekorzystnych zjawisk — trzeba podkreślić — uczyniliśmy w tym roku niemały krok naprzód w rozwoju kraju, w dążeniach do dalszej poprawy warunków naszego życia. Zawdzięczamy to mądrym decyzjom V plenum KC PZPR, zapoczątkowującym przegrupowanie sił i środków, czyli przedsięwzięcia ekonomiczno-gospodarcze określane mianem manewru gospodarczego. Droga do osiągnięcia wytyczonych wówczas, a rozwiniętych uchwałą VI plenum KC celów społecznych wiede mogła jedynie poprzez zwiększanie produkcji rynkowej i eksportowej, a także przez bardziej dynamiczny rozwój budownictwa mieszkaniowego, co z kolei wymagało powolnego ograniczania nakładów na inwestycje grupy „A” (środki produkcji).

Dziś, z perspektywy czasu, siedząc przy świątecznym stole, zastanawiamy się pewnie nad tym, czy mogliśmy ten manewr prowadzić w milijajnym roku lepiej i skuteczniej, czy nie jest on realizowany zbyt wolno. IX plenum KC PZPR stwierdziło wyraźnie, iż na bardziej widoczne efekty zaprogramowanych zmian należy jeszcze trochę poczekać. Wszelako wysiłki kierownictwa partii i rządu, zmierzające do dalszego, wyraźniejszego pogłębienia równowagi rynkowej, a zwłaszcza do zaspokojenia potrzeb w zakresie podstawowych wyrobów standardowych, przynoszą — przynajmniej — coraz bardziej odczuwalne rezultaty.

Możemy więc mówić o udanym w sumie roku, o sukcesach w skali globalnej (np. maleje ujemne saldo płatnicze), ale problemów i kłopotów mamy jeszcze sporo, istnieje wciąż niemało braków i napięć, a to głównie z powodu niepełnego dostosowania struktury asortymentowej i jakości towarów do społecznego popytu. Ciągłe niedostateczna jest podaż masy mięsnej, choć — jak powiedział Edward Gierk na ostatnim spotkaniu z dziennikarzami — rysują się perspektywy poprawy zaopatrzenia rynku mięsnego. Oczywiście, błędem byłoby obiecywać, że rosnące potrzeby w tym względzie będą mogły być zaspokojone już w przyszłym roku, jednak wyniki spisów mówią, że krzywa rośnie w górę, do czego się i my przyzwyczailiśmy.

Województwo legnickie, jak wykazały obrady poniedziałkowego plenum KW PZPR, jest bardzo aktywne w realizacji manewru gospodarczego. Świadczy o tym wynik tegorocznej pracy naszego rolnictwa (odbudowaliśmy po głowie trzody z lipca 1975, wykonamy zapewne plan skupu żywyca) oraz przemysłu produkującego dla potrzeb krajowych i na eksport. Przekraczamy liczne wskaźniki i plany, dając w br. na cele rynkowe o 14 proc. towarów więcej niż rok temu, a na eksport — o 15 proc. Jeszcze lepszą dynamikę wykazują przemysły: lekki (116,2 proc.) i spożywczy (116,7 proc.). Dobrze radzimy sobie z trzecim elementem manewru — budownictwem mieszkaniowym.

Jednakże, jak stwierdził w swoim wystąpieniu tow. Stanisław Cieślak, realizacja doniesłej uchwały IX plenum KC przebiega w naszym regionie nierównomiernie. Osiągnęliśmy wiele, ale nie możemy być zadowoleni. Stać nas na więcej i na lepiej pod warunkiem, że każdy z nas osobno i wszyscy razem będziemy mądrzej niż dotychczas i jeszcze efektywniej wykorzystywali społeczne środki produkcji i pieniądze, że bardziej niż dotychczas cenili będziemy czas pracy. Za dużo bowiem jest jeszcze marnotrawstwa i bałaganu, zbyt mało jesteśmy gospodarni. Możemy się wyprowadzić chwalić zaoszczędzeniem w tym roku miliarda zł na kosztach wytwarzania, lecz jednocześnie szafowaliśmy funduszem płac, ponosiliśmy straty wskutek przewlekłego realizowania inwestycji itd.

Partia stawia sobie i społeczeństwu za cel główny roku 1978 znaczne złagodzenie napięć rynkowych i w handlu zagranicznym oraz dalszą, wyraźną poprawę sytuacji mieszkaniowej ludzi pracy. Istotną rolę w urzeczywistnianiu tych zamierzeń spełnić może i na pewno spełni nasz region. Jesteśmy wszak potężnym ośrodkiem przemysłowym i liczącym się w kraju dostawcą piodów rolnych. Toteż i nasz plan społeczno-gospodarczy na rok 1978 jest bardzo ambitny. Zakłada on tempo znacznie wyższe od przyjętego w skali kraju.

Zdecydowana większość naszej kadry kierowniczej rozumie dobrze istotę przeprowadzania od wielu miesięcy manewru gospodarczego. Są jednak — niestety — dyrektorzy, którzy jej nie rozumieją. Oto niektórzy kierownicy jednostek gospodarczych chętnieby, owszem, zwiększyć plany, ale kosztem znacznego zwiększenia stanu zatrudnienia i funduszu płac. Ponieważ nikt im tego nie mógł zapewnić, próbowali planować mniej niż zrealizowali, a kraju, czemu wojewódzka instancja partyjna stanowczo się przeciwstawiła. „Wobec występujących napięć rynkowych planowane obniżanie produkcji towarowej na zaopatrzenie ludności, jakie ma miejsce w planach niektórych przedsiębiorstw, będziemy traktować jako brak partyjnej odpowiedzialności” — stwierdził I sekretarz KW. Istotnie, trudno się z taką praktyką pogodzić. Tak jak trudno darować innym dyrektorom próby podmieniania asortymentów. Przed nami jednak jeszcze konferencje samorządu robotniczego, które — wierzyć należy — nie dopuszczą do ustalenia mało ambitnych zadań. Zobowiązuje je zresztą do tego uchwała, jednogłośnie przyjęta przez poniedziałkowe plenum Komitetu Wojewódzkiego partii.

Napisałem na wstępie, że żyjemy wszyscy nadzieją, iż rok bieżący będzie trudniejszy od przyszłego. Pragnę tu do tego dodać: będzie on o tyle łatwiejszy w życiu, o ile więcej w tym Nowym — 1978 — Roku z siebie damy, czego sobie wszyscy dzisiaj i za tydzień życzymy.

WŁODZIMIERZ KISIL

UŻ TAM mało który gospodarz nie uporał się ze swoimi pracami do św. Marcina. W każdym razie dobremu zdarzyć się to nie mogło. Jakże zresztą miałoby czasu nie starczyć, skoro do obniasania była właściwie tylko jedna trzecia włości. Bo to przecież wiadomo: trzeba podzielić pole na trzy części, jedną zostawić na pastwisko, drugą na jare zboża, a na trzecią wychodząco wedle tradycji — w Matkę Boską Siewną — i z zachowaniem różnych praktyk mających na celu magiczne zapewnienie dobrych urodzajów, siano żyto. Tak robił dziad i dziad dziada, jak długo sięga włościńska pamięć. Tak musiało być i już!

A koniec tych prac przypadał właśnie najpóźniej na św. Marcina. Bo ważny to był dzień na wsi. Nie tylko dlatego, że „Od świętego Marcina zima się zaczyna” — jak mówi „Ekonomia wiejska” z 1588 roku. Był powód ważniejszy: w dzień ten przypadał termin składania danin. „Skłębnie mieszek u wójta nazajutrz po św. Marcinie, kiedy z dworu idzie” — kpił sobie Mikołaj Rej i nie dziwnego, że kpił, skoro siedział właśnie we dworze; wójtowi pewnie było mniej wesoło... Dość, jak widać powodów, aby dzień ten od pracy był wolny. Szczególną uwagę zwracano, aby ustąpiła praca w młynach — i to pod srogimi karami połamania pałców, gdyby się młynarze robić odważyli.

Zaczynała się zima. Powszechnie podawano w ten dzień gęś do stołu i z piersi gęsiej wróźono. „Pierś z Marcinowej gęsi jeśli biała, to zima dobrze będzie statkowała” — mawiano. Zimno na dworze, na stole gęś, do niej wino i zacyny kompan, oto obraz świętomarciniński: początek radości zimowych.

Zima na wsi. Czas spokoju, postu i nabożeństw: adwent. Gwarne zazwyczaj życie domowe i sąsiedzkie stawało się na czas kilku tygodni przyciszzone, poważne. Adwent liczono wówczas od św. Marcina, stąd też czterdziestnicą go zwano, gdyż tyle dni do świąt Bożego Narodzenia czekać trzeba było. Okres to długi i jednostajny, tylko w wigilię św. Katarzyny i św. Andrzeja przerywany przez wesołe wróźby, którymi zabawiała się młodzież. I koniec na tym.

Może mniej nudno byłoby, gdyby się jakaś robota znalazła. Ale gdzie tam. W tym czasie praca w gospodarstwie skupia się w oborze, chlewie, w kurniku. No, ale to wszystko dostarczało zajęcia pani domu, jej pieczy bowiem — zgodnie z uświęconą tradycją — oddane było wszystko co żywe w gospodarstwie. W ogóle zresztą panie mniej się nudziły w czasie długich zimowych wieczorów: zbierały się dziewczęta na wspólne prace, każda z prząsłką i motowidłem, tkaczy, przędzy albo darły pierze, a przy tym śpiewały pieśni pobożne i opowiadały czarodziejskie baśnie. Jednym słowem — miały zajęcie i to nie najgorsze. No dobrze, ale co mieli począć z sobą gospodarze i cała wiejska kawalerka? Przecież nie siadzie chłop i nie będzie darł pierza czy wyszywał makatek! A tu robić nie ma co, jeść specjalnie nie można, bo post, do świąt je-

szcze daleko. Co zrobić z sobą, zaim będzie można w pole wyjechać. Co robić, kiedy na dworze zimno i ciemno, a później zmieni się na szarugę i pluchę; kiedy w chałupie nudno — co robić?! Jak daleko pamięcią sięgnąć, zima zawsze stawiała przed chłopem dylemat: czy nudzić się w chałupie, czy dać zarobić Żydowi w pobliskiej knajpie. Nie da się ukryć, że częściej wybierano drugą możliwość.

Jeżeli zaś chodzi o wies dzisiejszą, to lat już kilkanaście co najmniej minęło, jak zagubiła się różnica między zimą a pozostałymi porami roku. Na św. Marcina ruch na polach, jak nie przymierzając — na św. Eustachego, a niewiele mniejszy niż na św. Innocentego.

sobie poradzić z rdzą, z rozsypywaniem się maszyn. A gospodarz musi! I jeżdżą po polach takie weterany cudem przy życiu utrzymywane intensywną zimową terapią.

Ot, niedaleko Bekaluków mieszka Antoni Marciszyn, który zebrął pocięty na złom w pegeerze kombajn, posiedział jednej zimy, pospał wszystko i już trzy lata minęły jak tym kombajnem kosi swoje zboża. Zresztą, czy to mało takich przykładów? W pobliskiej wsi niejaki Albert Kosacz przez zimę nauczył się z książki podstaw melioracji i wiosną sam sobie położył dreny na łące. A tej zimy Kosacz ma zamiar zająć się rozrzutnikiem nawozów i siewnikiem, które wymagają remontów generalnych, jeżeli nie mają podzielić losu wyeks-

zwane aktualizującymi, na przysposobienia rolnicze, na samokształcenia w zespołach młodych rolników. Już sama wielorakość nazw świadczy, iż to nie żadne żarty z tym kształceniem. Nie wymieniaj tu kwalifikacyjny kurs rolniczy, ale że świecą teraz szukać gospodarza, który nie miałby takowego ukończonego. Już i kursy mistrzowskie nie bardzo jest dla kogo organizować — większość gospodarzy ma je już za sobą, a z tych, którzy dotąd kursu nie ukończyli, mistrzów w gospodarzeniu się pewnie nie zrobi. Największą popularnością cieszą się kursy przysposobienia rolniczego, bo to dla młodzieży będącej u rodziców na gospodarce i do technikum dającą uprawnienia. Resztę dobrej oświatowej roboty przypada na telewizję. Dobrego rolnika można poznać nawet nie patrząc na jego gospodarstwo — bezbłędnie taki wymieni dni i godziny audycji rolniczych.

Wies współczesna jest, jak widać, mocno zimą zajęta. Pewnie, że nie wszyscy. Ale czy takich można nazwać gospodarzami? Pani Elżbieta Bekaluk mogłaby na ten temat dużo powiedzieć, jako radna GRN, członek KG PZPR, przewodnicząca KGW, prezes Kółka Rolniczego, przewodnicząca Komitetu Rodzicielskiego. Uff! A także jako sklepowa. Bo to raz przychodziły gospodynie do sklepu kupić koguta? To już jest dla pani Elżbiety zupełna zgroza — kupować w sklepie wiejskim brojlera mając swoje hektary i ręce do pracy. Raz nie wytrzymała i nie sprzedała. Trudno się jej dziwić, skoro sama trzyma pięćset kur niosek przy swoich pięciuset tucznikach — jaki to kłopot: dwadzieścia minut roboty więcej.

NIE MA NA WSI dzisiejszej dziewcząt z prząsłkami i motowidłami — ba, dzisiejsze panny zapytałyby: co to takiego? — wspólne śpiewy zastąpił gramofon i „Czerwone Gitary”. Zresztą nie ma czasu specjalnie słuchać. Bo niby „od świętego Marcina zima się zaczyna”, ale po pierwsze — zaczyna się dopiero na św. Zenona, a po drugie — co z tego, że się zaczyna...

PO ŚWIĘTYM MARCINIE

KRZYSZTOF DĘBEK

Tak, tak — wies dzisiejsza przestała patrzeć na świętych, bo roboty za dużo: przy św. Marcinie to jeszcze i kukurydza na polach, i buraki, i orki zimowe. Aura też jakby weszła w komitwę z rolnikami — mało co różni się zima od jesieni, jesień od lata, lato od wiosny: leje przez rok cały z niewielkimi przerwami na prace polowe, a później na śnieg, ale to dopiero gdzieś w styczniu...

No tak, ale wcześniej czy później robotę w polu się skończy i co wtedy? Narodowe przysłowie głosi, iż wówczas „rolnik śpi a w polu mu rośnie”. Ano spójrzmy: jak to jest z zimą na wsi współczesnej, czyli — co po św. Marcinie?

Najpierw — jak to jest z tym spaniem. Bo na przykład Edward Bekaluk, gospodarz z Krzywej, tak jak i jego żona Elżbieta, wstają codziennie o czwartej rano. Bez względu jakiego to świętego przypada — świnię karmić trzeba. Właściwie to trzeba było zawsze, ale nigdy żaden gospodarz nie trzymał tych świń pięciuset na raz. Oporządzenie tego liczego żywego dobytku zajmuje dwa razy dziennie po cztery godziny. Po porannym karmieniu, o godzinie ósmej, pani Elżbieta otwiera sklep mięsny, w którym od lat pracuje i nie przestała, mimo zwiększonych obowiązków we własnym gospodarstwie. Zaś gospodarz wedruje — jak akurat wypadnie: do Urzędu Gminy, do GS-u, poszukuje paszy, zwozi węgiel, nawozy, załatwia części do swoich maszyn i wiele, wiele innych przeróżnych rzeczy. Bo wiadomo — piśmiem niewiele się zdziało, trzeba samemu jeździć po urzędach i po magazynach. Po obiedzie przychodzi czas drugiego karmienia — znówu cztery godziny — i już zaczyna szarzyć na dworze. Można odpocząć, telewizor włączyć, a po filmie do spania.

Nie, stanowczo czasu nie staje, na to, co zrobić koniecznie trzeba. Bo przecież czekają na remont maszyny wyeksploatowane wiosną, latem i jesienią — teraz jest jedyna szansa, aby wszystkie części przegłądać, co trzeba wymienić, uzupełnić, naprawić — muszą być sprawne na następny sezon. Muszą być — co ważniejsze — sprawne przez wiele kolejnych sezonów: gospodarz to nie kółko rolnicze, żeby mógł sobie wymienić ciągniki, siewniki czy rozrzutniki nawozów. W kółkach i pegeerach nie mogą

ploatowanych maszyn z kółka. Nie nowina, takie generalne remonty, ani Kosaczowi, ani jego maszynom, wszystkie bowiem były kupowane od kółka, jako nadające się do kassacji: i rozrzutnik, i siewnik, a także kombajn wistula — hulają po polach Kosacza, że pozazdrościć tylko Podobnie jak dwa Kosaczowie ciągniki. Zaś w ubiegłą zimę sprawił sobie Kosacz nowy kłopot kupił sobie fiata. I już mu coś piszczy w sprzęgle, charczy gdzieś i jęczy — słowem: dodatkowa robota na zimę. I trzeba to było pozbywać się wysłużonej skody...?

Zima jest też dla rolników jedy-
ną okazją, aby dowiedzieć się co
niedługo o gospodarzeniu ponad to, co
przekazał ojciec nauczony przez
swojego ojca itd. Tradycyjną gos-
podarką można się co najwyżej
telewizora dorobić, ale co to za do-
robek! Wstyd przed sąsiadami, że
nie kolorowy... Więc wieś się
kształci, poświęca zimowe godziny
na kursy mistrzowskie, szkolenia



Fot. Krzysztof Raczkowski

PISAŁ Saint-Exupéry: „... ołśnieni zdobyczami postępu techniki, posługiwaliśmy się ludźmi

do założenia sieci dróg kolejowych, fabryk, do wiercenia szybów górniczych. Zapomnieliśmy jakoś, że wznosiliśmy te budowle po to, aby służyły ludziom. Dopóki trwał podbój, moralność nasza była moralnością żołnierzy. Ale teraz trzeba już kolonizować. Trzeba tchnąć życie w ten nowy dom, który nie ma jeszcze oblicza.

Do niedawna jeszcze ludziliśmy się, że sytuacja wygląda tak właśnie, jak opisał Saint-Exupéry: przyjdzie czas, kiedy technika zaspokoi wszystkie ludzkie potrzeby i dalszy jej rozwój stanie się zbędny. Coraz bardziej uświadamiamy sobie jednak, że postęp cywilizacyjny rodzi wciąż nowe potrzeby i nie będzie takiego momentu, kiedy skończymy budować, a zaczniemy mieszkać. Trzeba więc nauczyć się pozostawiania niezbędnego do życia przyrodniczego środowiska, równocześnie przekształcając je w toku dalszego rozwoju przemysłu.

Nowa koncepcja ochrony naturalnego środowiska — jest konsekwencją zdania sobie z tego faktu sprawy. Skoro nie można przystosować rozwoju cywilizacji przemysłowej, to nierealne jest chronienie przyrody tylko poprzez zachowanie naturalnych enklaw, na które wzbroniony byłby wstęp przemysłowi. Trzeba będzie oddawać mu następne tereny, próbując jednocześnie zapewnić człowiekowi niezbędną do życia przestrzeń, żywność, wodę i powietrze. Przyroda, pełniąc te użytkitarne funkcje, będzie musiała dostosować się do przekształconego przez człowieka otoczenia.

Takie właśnie koncepcje leżą u podstaw rozważań nad sposobami ochrony naturalnego środowiska w LGOM. Utworzono tu w 1970 roku resortową Komisję do Spraw Ochrony Środowiska. Opracowano perspektywiczny plan jego ochrony, zakładający m.in. wszechstronną współpracę z wieloma wyższymi uczelniami i szeregiem instytucji naukowo-badawczych w kraju. Koordynację prac naukowo-badawczych z zakresu inżynierii ochrony środowiska na obszarze LGOM powierzono Zakładowi Ochrony Środowiska ZBiPi „Cuprum” we Wrocławiu kierowanemu przez mgr inż. Eugeniusza Skibę, a realizację programu ochrony środowiska — Zespołowi Ochrony Środowiska KGHM w Lubinie, kierowanemu przez inż. Mieczysława Łapińskiego. Badania nad dotychczasowymi szkodami poniesionymi przez naturalne środowisko i nad sposobami ich ograniczenia w zagłębiu stały się więc poważnym rządowym problemem. Rodzą się projekty, które mają wytyczyć kierunki kompleksowych działań nad pogodzeniem przemysłu z naturą. W ten sposób LGOM staje się swoistym laboratorium, w którym wykluwają się nowoczesne — na skalę światową — koncepcje ochrony środowiska.

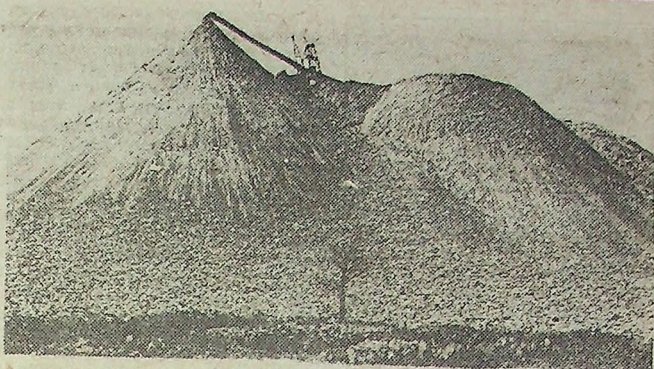
Pierwszym etapem realizacji tego zadania jest zapobieganie dalszej dewastacji otoczenia zakładów przemysłowych. Huty miedzi, zakłady wzbogacania rud, elektrownie zanieczyszczają powietrze związkami siarki, azotu, węgla oraz pyłami zawierającymi metale: ołów, miedź, cynk, arsen, antymon i bizmut. W przypadku górnictwa wniosek zabrzmi po prostu bardziej optymistycznie. Z nim wiąże się tylko przekształcenia w naturalnym ukształtowaniu ziemi oraz zmiany w składzie chemicznym wód podziemnych. Oznacza to jednakże postępującą erozję gleby i powstawanie obszarów pustynnych,

których znanym elementem są olbrzymie hałdy odpadów przemysłowych.

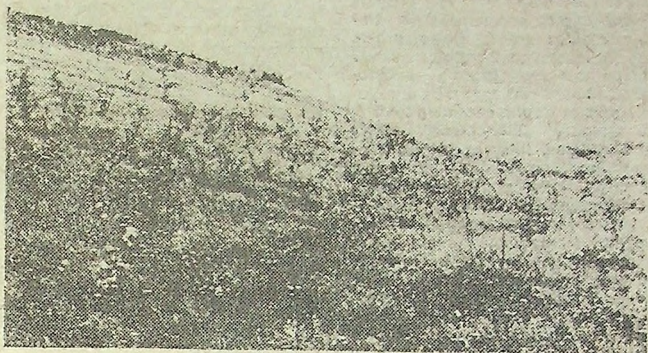
Sprawą pierwszoplanową stało się więc niewydalanie trujących związków poza zakłady przemysłowe. Naturalnym wyjściem byłoby zbudowanie odpowiednich do tego celu urządzeń. Jest to wobec tego zadanie nauki zespolonej z techniką. Rodzące się w pracowniach naukowców konkretne, związane z określonym terenem, projekty zrealizuje technika.

W LGOM zajęto się już ograniczeniem ilości gazów i pyłów, które wyrzucają do atmosfery huty i kopalnie. Rozbudowano i podniesiono sprawność urządzeń odpylających. Unowocześnienie urządzeń poprawiło wskaźnik ich efektywności czasu pracy. Zbudowano też kilka wysokich kominów w ZG „Lubin”, „Polkowice” i „Rudna”. Dzięki nim pyły i gazy będą rozrzedzone i rozprzestrzeniane na większym obszarze, co zmniejszy stężenie trucizn i uchroni najbliższe zakładom tereny od nadmiernego skażenia. Jednocześnie zastąpiono w suszarniach koncentratu paliwo węglowe beziarkowym gazem ziemnym. Dzięki temu jeden z najgroźniejszych związków — dwutlenek siarki — przestał wydobywać się z kominów. Gaz ziemny zastosowano całkowicie w ZG „Konrad” i ZG „Rudna”, a częściowo w ZG „Lubin” i ZG „Polkowice”. W hutach miedzi wdrożono metodę przeróbki dwutlenku siarki na kwas siarkowy — cenny surowiec dla przemysłu.

Powstał zatem obieg zamknięty



Zwałowisko skały płonej w trakcie eksploatacji (ZG Konrad).



Fragment zrehabilitowanego zwałowiska skały płonej (ZG Polkowice). Zdjęcia: Andrzej Mizera

PRZYRODA W NASZYCH RĘKACH

RYSZARD ŁUBOWICZ

dia produkcji i wykorzystania SO₂. Budowanie takich obiegów zamkniętych jest jedną z podstawowych zasad wypracowanych przez inżynierii ochrony środowiska.

W zakresie ochrony wód dąży się do zbudowania obiegów zamkniętych poprzez zawroty oczyszczonych wód i ponowne wykorzystanie ich w procesie flotacji.

Przykładem efektywnego działania może być olbrzymi zbiornik osadowy kopalni „Lubin” — „Główny” — który przestał być groźny dla otoczenia przyrodniczego.

Tworzenie przemysłowych obiegów zamkniętych w celu powstrzymania dalszego zanieczyszczenia środowiska jest tylko częścią wielkiego zamierzenia, jakim ma być inżynieria ochrony środowiska. Zwróćmy uwagę, że pozostają tereny już do tej pory skażone, pokryte hałdami, wyjąłowane, z zatrutą wodą. I mimo dążenia do hermetyzacji cykli produkcyjnych, zanim ten etap się osiągnie, będą powstawały następne obszary zdegradowane biologicznie. Inżynieria ochrony środowiska zamierza przywracać te tereny do życia. Żeby z powrotem wprowadzić przyrodę na skażone tereny, nauka zajmuje się już w tej chwili szukaniem odpowiedzi na pytanie, jaka roślinność, jakie zwierzęta mogą się na nich zaaklimatyzować.

Wyselekcjonowaną przez biologów roślinność o odpowiednio wysokiej odporności na trudne warunki glebowo-wodne i skażenia chemiczne zrehabilitowano dawny zbiornik osadowy nr 1 ZG „Lena”. Istotnym przedsięwzięciem był dobór właściwych gatunków drzew i krzewów dla utworzenia z nich pasów ochronnych wokół hut. Dodajmy, że pasy ochronne spełniają rolę filtru, pochłaniającego i unieszkodliwiającego zanieczyszczenia. Na planie drugim zaś — służą urodzie przemysłowej okolicy. W

„Konrad”, „Lubina” i „Polkowice” przebudowano drzewostan z sosnowego na liściasty o znacznie wyższej, odporności na działania przemysłowe. Wyniki prowadzonych badań naukowych mówią, że przedsięwzięcia te powinny przynieść oczekiwane rezultaty. Rozwój szosotechniki (nauka o technice ochrony środowiska) pozwolił na przemysłowe wykorzystanie hałd — m.in. jako materiału do budowy dróg asfaltowych. Na skutek działań rekultywacyjnych w okolicach Lubina Wschodniego, Głównego i Polkowice Głównych kieszycywo krajobraz z hałdami uległ całkowitemu przeobrażeniu: jest to obecnie pofalowany, porosły trawami i kępami krzewów teren, koczający się ze stepem.

Przedstawione zabiegi nie są niczym innym, jak tylko próbą sterowania przyrodą, całkowitego jej opanowania środkami cywilizacji przemysłowej. Założenie generalne mówi, że to przyrodnicze środowisko ma dostosować się do ludzkiej cywilizacji, a nie odwrotnie. Spróbujmy przeto raz jeszcze przeanalizować szanse tego zamierzenia. Wydają się niewielkie, jeśli się zważy, że obecna niedoskonałość techniki nie stwarza możliwości zbudowania całkowicie hermetycznych systemów produkcyjnych. Zakładamy jednak, że w perspektywie historycznej technika zdobędzie niewyobrażalne możliwości i potencjalnie będzie to realne. Nasuwają się jednak nowe wątpliwości. Już teraz wiadomo, że inżynieria ochrony środowiska to niezwykle kosztowna idea. W wypadku LGOM nakłady na ten cel wynoszą obecnie ok. 35 procent ogólnych nakładów inwestycyjnych. Warto dodać, że jest to jeden z wyższych wskaźników w świecie. Wydatki takie będą w miarę rozwoju przemysłu wzrastały i kto wie, czy w pewnym momencie nie osiągną poziomu nieopłacalności

eksploatacji surowców przemysłowych. Następną wątpliwość związaną z kosztami przedsięwzięcia nasuwa tu poziom świadomości społeczeństwa — czy będzie potrafiło dorosnąć do roli mecenasów dalszego postępu cywilizacji technicznej? Innymi słowy, czy zdecyduje się ograniczyć tempo dalszego bogacenia się w dobra przemysłowe na rzecz zapewnienia sobie naturalnego środowiska. Sterowanie przyrodą — jeszcze jeden wielki sukces umysłu człowieka; dowód, że jest on najwyższą i najdoskonalej zorganizowaną formą życia na Ziemi. Zmienimy jednak apologetyczny ton na bardziej umiarkowany i zapytajmy, mając na względzie dotychczasowe doświadczenia w podboju przyrody, czy rzeczywiście potrafimy czynić to bez katastrofalnych dla niej i dla nas samych skutków? Czy wszystko ułmiemy przewidzieć?

NIERAZ JUŻ okazało się, że zaplanowanie nad przyrodą to tylko złudzenie. Przyroda zmieniona przez technikę nie będzie już tą samą przyrodą. Przekształcona w swoiste „parki” z sektorami drzew, betonowymi ścieżkami, czyste, ułożone powierzechnie z podstarzłą trawą z pokorą i oddaniem czekać będzie na swego pana i władcę. Czy jednak nie zatęskni on wiedzy do starych dobrych czasów, kiedy była mu przyjacielem, a nie sługą?

KONKRETY

5



POZYCJA stojąca, pionowa jest chlubną konsekwencją rewolucji człowieka. Nie znaczący to wcale, że pozycja stojąca jest pozycją najwygodniejszą. Wręcz przeciwnie! Przeglądając się swoim mięśniom łatwo można dojść do wniosku, że najwygodniejszą pozycją człowieka jest pozycja leżąca. Pozycja stojąca wiąże się z pracą, pozycja leżąca ze świętowaniem. I dlatego wszyscy lubimy świętować. Lubimy podlegać temu miłemu, niezwykle czasownikowi.

Czasownik „świętować” wiąże się z rodziną innych miłych czasowników. Świętujemy — a w tym zakresie: kolegujemy krewnych, wizytujemy nieznajomych, rewizytujemy poznanych wczoraj nieznajomych (teraz już znajomych), jemy, pijemy, chorujemy z przeżędzenia, przechodzimy do siebie, znowu jemy, gadamy, rozmawiamy. W tej liczbie: obgadujemy, planujemy, bełkoczymy, pijemy i jemy z tymi, z którymi plotkujemy, pijemy zdrowie tych, których obgadujemy, pijemy też swoje zdrowie i chorujemy z przepicia (w końcu to nasze, prywatne zdrowie). Dochodzimy do siebie. U siebie, gdy świętujemy w domu i u kogoś, gdy świętujemy na wyjeździe. Odżegnujemy się od alkoholu gdy sami pijemy a żona prowadzi. Nie odżegnujemy się gdy dopiero podróżujemy, jedziemy, turlamy się opóźnionym pośpiesznym, tłoczmy się, pocimy, męczymy, żeby dojechać tam, gdzie będziemy pić, jeść, koleđować i dopiero potem się odżegnować.

Leżymy, siedzimy, śpimy, budzimy się, patrzymy na choinkę. Śpiewamy koleđy, „sto lat” i „jak się masz kochanie” łupimy orzechy, odkorkowujemy wino, odkapślowujemy wódkę, bo jej ostatnio nie korkują. Zjemy, degustujemy, próbujemy, smakujemy. Siorkujemy, siorkujemy lub siorkamy — to już zależy od ogłady i wykształcenia. Pijemy lub chlejemy — to zależy od wytrzymałości głowy i miejscowej tradycji. Jemy lub żjemy — to zależy od apetytu. I jest miło, świątecznie, wypoczynkowo... i jest puszysty śniegu tren, który rozciąga swe czary... słychać dzwonki — janczary lub sygnały karatek pogotowia. Gdy na dworze odwilż i chlapi a w ogóle jest ta świąteczna pogoda „do tyłu”, to leżąc wygodnie włączamy wyobraźnię, słyszymy dzwonki — janczary, skrzypienie śniegu, widzimy jak przez zaśnięzone pola i jary idą Mikołaje, Dziadki, Mrozy lub Gwiazdory — to już zależy od regionu, w którym przeżyliśmy dzieciństwo... Ale trwa to chwilę, bo znowu kogoś witamy, usadzamy, gadamy banały, pijemy, jemy (już powoli nam to gardłem wychodzi), chwilejmy się na nogach, trzeźwiejemy. Pijujemy się. Leżymy wosk, bo nam się gwiazdka myli z Andrzejkami!

Co jakiś czas stwierdzamy odkrywczo „święta, święta i po świętach” i dziwimy się, że wszyscy znają to powiedzonko i nikoje ono nie dziwi. Wszystko przemija, więc palujemy się, żegnamy, dziękujemy za gościnę. Cały czas jednak świętujemy! Nie zapominamy o tym. Jeszcze na drogę jemy i pi-

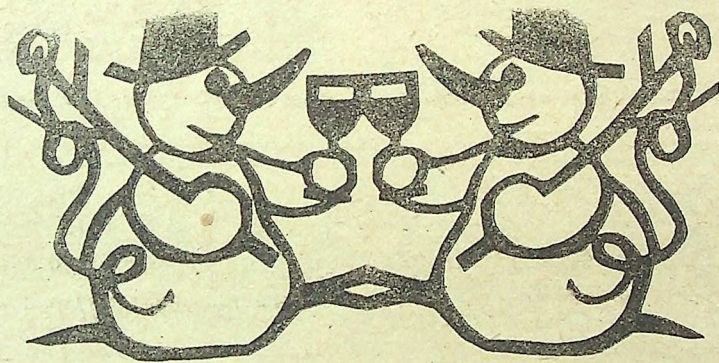
jemy strzeżennego. Na drugą nogę też. Jedziemy. Marnie się prezentujemy. W dodatku prowadzimy. Wieziemy: dzemy od mamy, jaja, resztki pokruszonego ciasta, bigos w słoiku, skarpetki (prezent). Trzeźwiejemy. Uzupełniamy zapas (żona na zmianę prowadzi). Dojeżdżamy! „Wesołych świąt” wykrzykujemy i wszystkim zaczyna się od nowa.

NIEPOWTARZALNY urok i wdzięk mają rodzinne rozmowy świąteczne. Święta to czas powrotów na rodzinne łona. Jak kraj długi i szeroki dochodzi do rodzinnych zjazdów, do spotkań po latach. I wydawałoby się, że nie starczy świąt na omówienie tysięcy spraw. Nic podobnego! Zauważ-

ci, po świątach znowu sobie zrobię, wyniki dobrze mieć... jestem teraz na diecie... ten bigos ci się udał... nie mogę jeść rzeczy ciężkostrawnych, bo dostaję nadciśnienia... ostatnio biorę takie malutkie czerwone pastyleczki, bardzo dobrze mi robią... pokaż? ... tych nie znam, ja biorę większe, zielone... Józek przynieś te tabletki... brałam je też, ale źle mi robią na wątrobę... wyszło to z badania moczu... wątrobę mam zdrową, tylko morfologia nie bardzo... ile palisz? dwie paczki?... może jeszcze trochę majonezu?... kieliszeczek?... mówił mi lekarz, że gdybym po jedzeniu piła, to bym nie miała sensacji z żołądkiem... nie wierz lekarzowi! Mówi ci, żebyś nie paliła a sam w tym czasie pali!... Ci lekarze teraz niedoświadczni! Jak miałam zapalenie stawów w nodze, to mi powyrzynał połowę zębów! I co, masz protezę? Pokaż! Słuchnie ci

je się prezent szeregowy, który wywołuje radość sztuczna. I tu zaczynają się świąteczne udręki tych obdarowanych, którzy nie potrafią się należycie cieszyć. A cieszyć się trzeba, żeby nie zrobić przykrości ofiarodawcy! Trzeba umieć wykrzykiwać: Boże, co za cudne kalesony! Trzeba się zdobyć na wyznanie: Szukałem tych ręczników frotte od roku i nareszcie je mam! Dziękuję serdecznie! Jestem wzruszony! Buzi! Trzeba matychmiast złożyć te świetne skarpetki i jeszcze zawołać sasiadów: Chodźcie! Zobaczcie, co dostałem! Zbogatelizowanie prezentu, odłożenie go „na potem” to potworna gafa! Wywołuje ona niesmak i nieraz przeradza się w niechęć: Dalem mu na gwiazdkę szalik i ani razu go nie założył! A niech się przeżębi jak taki niewychowany! W imię miłej atmosfery po świątach manifestujemy więc spontanicznie radość z otrzymanych prezentów banalnych lub też starajmy się zdobyć prezenty oryginalne. I tu mógłby nam przyjść z pomocą handel, publikując listę przedmiotów, które z przyczyn znanych jedynie handlowi stają się niedostępnymi, nieosiągalnymi rarytasem, mimo łatwości produkcji, niskiej ceny i masowego zapotrzebowania.

PARĘ LUŻNYCH UWAG O PRZYJEMNOŚCIACH ŚWIĘTOWANIA



my, że bardzo szybko wyczerpują się pasjonujące tematy z cyklu „co słychać”. A tu trzeba rozmawiać! I nie ma obawy, że zapadnie niezręczna denerwująca cisza. Po godzinie obgadamy wszystkich znajomych i przejdziemy do podstawowego tematu świątecznych rozmów, to znaczy do chwaleń się różnymi chorobami, które nas dręczą, trapią, zajmują czas, pieniądzę i zdrowie. Przecież jest taka rodzinna wymiana poglądów na temat dolegliwości: reumatyzm kochana, nie ma co, ja też to mam. Jak idzie niź, to łażę po ścianach... ja znowu mam to samo, jak idzie wyż... robiłam wyniki po znajomości

wstawiłam! Możesz gryźć? Pewnie! No to może po kieliszku, żebyśmy zdrowi byli! Grunt to zdrowie! Trzeba mieć zdrowie, żeby chorować!

NIE powiem nic nowego o świątecznych prezentach. To temat oklepany jak kosa po żniwach. Prezenty jednak były, są i będą chyba wiecznie nieodłącznym rekwizytem świątecznej atmosfery, choć często są pospolite, banalne i zwyczajne jak dzień powszedni. Nakazywana przez grzeczność i ogładę konsekwencją otrzymania prezentu jest radość obdarowanego: prawdziwa, spontaniczna, z całowaniem po rękach — lub udawaną, sztuczną, z kiepsko przyklejonym uśmiechem. Radość prawdziwa wywołana jest prezentem oryginalnym. Prezentem oryginalnym jest przedmiot posiadający cechy nieosiągalnego rarytasu, przy znikomej nawet wartości pieniężnej. Według tej zasady lepszym prezentem jest nieosiągalna bomboniera czekoladek wedlowskich za sto złotych niż rzeźba ludowa z Cepeli, przedstawiająca świątkę fraszobliwego z lewą ręką opuszczoną, za dwieście złotych. Podobnie lepszym prezentem jest paczka kawy za sześćdziesiąt złotych niż serwis do kawy za osiemset złotych. Trzeba mieć talent lub znajomość żeby kupić prezent oryginalny. Częściej-kupu-

SA też święta miłą okazją do poruszenia w rodzinnym gronie tematów od święta. A są takie tematy! Choćby problem uświadomienia dorastających dzieci! Jest czas, spój, choinka emanuje szczerymi nastrojami. Siadamy pod tym leśnym drzewkiem z żoną, z dziećmi i pogadamy jak dorośli. Są też święta okazją do powiedzenia żonie, mężowi, teściom czegoś miłego, sympatycznego, choć raz w roku, przy wielkim święcie! Można się zdobyć na szczerą samokrytykę: jestem aneymonek, tak tak! Wiem o tym i w tę wigilijną noc mówię o tym szczerze! Podobno nawet zwierzęta przemawiają, więc i ja przemówię! Byłem szuja, tyranem, zmorem, alkoholizmem! I stać mnie na to, żeby o tym mówić! Ciężko mi to przechodzi przez gardło, fakt, ale po świątach znowu wskoczę w te szaleńcze tryby życia i nie będzie czasu pogadać. Nie wiem, czy się poprawię! Obawiam się, że w tym nawale zajęć zabraknie mi czasu. Ale mówię o tym, bo jest chwila szczerości, na którą już od jutra trzeba będzie czekać rok!



ATRAKCYJNYCH, bezkonfliktowych, cudownych, dostatnich, efektownych, fantastycznych, gustownych, luźnych, interesujących, jurnych, kapitalnych, luźnych, łagodnych, miłych, niezakłóconych; obfitych, przyjemnych, radosnych, statecznych, trzeźwych, uśmiechniętych, wspaniałych, znakomitych, żywiołowych świątecznych chwil, życzy wszystkim czytelnikom Konkretów autor tych wywodów.

NIBY wszystko ma swoją cenę. Wszystko można sprzedać. A czy jest rzecz zbyt cenna, aby nią w ogóle handlować? Jest taka rzecz. To krew. Kupczyć nią, to jakby kupczyć sobą samym; szacować w złotówkach coś, czego w żaden sposób oszacować nie można. Ale można krew dać. Zwyczajnie — bezinteresownie podarować ją anonimowemu potrzebującemu, który gdzieś tam w Polsce dar ten odbierze i nawet nie będzie wiedział komu za to życie ofiarowane podziękować.

O takich to właśnie życiowych sprawach rozmawiam z BRONISŁAWEM ROGALSKIM. Siedzimy w ciasnym i dusznym kantorku niedaleko czterech kotłów centralnego ogrzewania, do których co chwilę trzeba zaglądać — temperaturę sprawdzić, ciśnienie, żużel wyrzucić, koks dołożyć. Robota jak w każdej kotłowni — ciężka i czarna od wciskającego się do oczu i płuc pyłu, oiekająca potem. Odpowiedzialna jest ta robota pana Rogalskiego. Niech tylko w tych trzech budynkach, które ogrzewa, temperatura spadnie, już gna do niego tłum zlorzeczających ludzi. I pretensje mają słuszne — jak przyznaje Rogalski — w końcu większość to młode małżeństwa z małymi dziećmi. Tym bardziej ludzie pewni są swojej racji, więc w razie czego to Rogalskiego, choćby spod ziemi, a wyciągną. Wiedzą też wszyscy dokładnie gdzie go szukać — najczęściej w kotłowni, zaś pozostałe szesnaście godzin — w domu, a większość mieszkańców niewielkiego osiedla Dolpakartu dokładnie zna oba adresy. Bo trzeba od razu wyjaśnić — Rogalski jest wśród chojnowian znany. Nie tylko dlatego, że ogrzewa ich domy...

Bywało, i to nieraz, że dzwonek u drzwi mieszkania Rogalskich oznajmiał petenta szczególnego rodzaju; z prośbą, z jaką można udać się do niewielu tylko domów — z prośbą o krew. I odmówił jeszcze pan Bronisław takiej prośbie. Więć wiedzą ludzie, gdzie pójść.

Wszystko zaczęło się już w roku 1959. Potrzebna była krew dla ojca. Po raz pierwszy zeknął się wówczas Bronisław Rogalski z punktem krwiodawstwa. A później? Później trzeba było pomóc koleżdze. A jeszcze później?

— Regularnie oddaje. Tak trzeba.

Dlaczego jest krwiodawcą? Niezręcznie jakoś opowiadać o humanitaryzmie, o szlachetności, ideałach. O tym można mówić na uroczystych akademiach, pisać na plakatach i ulotkach, które leżą w każdej przychodni. Więć się o tym nie mówi; można i najwyżej powiedzieć: „Tak trzeba”. I w kotłowni zabrzmi to prawdziwie, zrozumiale.

— Szlakę muszę wyrzucić — stwierdza, przerywając nagle rozmowę.

Oczyścić z żużla trzeba trzy kotły. Już niedługo, gdy oddany zostanie do użytku budynek Dolpakartu dojdzie czwarto. To jest kwestia kilku najwyżej tygodni. Będzie pan Rogalski ogrzewał cztery budynki i męczył się przy czterech kotłach. Oczywiście nie tylko on — dwóch kolegów palaczy, którzy robią na pozostałych zmianach — również. W kotłowni jest jeszcze jeden pomocnik. Pracuje na pierwszej zmianie i ci palacze,

którym wypada akurat zmiana druga i trzecia, męczyć się muszą sami. Niby nawet przepisy bhp wymagają, aby w kotłowni było zawsze przynajmniej dwóch pracowników — bo niech coś się przydarzy człowiekowi, to w pojędyńkę zupełny kłops — ale przepisy swoje, a życie swoje.

Na posadzce ładuje wygrzebywany z pieca, rozżarzony żużel. W okropnym gorącu, w dymie i pyłach, trzeba władować kilkadziesiąt szuflów świeżego koks. Normalna praca palacza. Pierwszy kocioł gotów. Drugi gotów. Trzeci... Wynurza się pan Bronisław z tego burego tumanu. Zgrzyta coś w zębach, drapie w nosie. Uciekamy z powrotem do kantorka. Jak do azyłu jakiegos. Ale moje nadzieje, że przepluczę czymś gardło okazały się pienne. Nie dostarczono do kotłowni gwarantowanego mleka, nie dostarczono nawet wody mineralnej. Trzeba zadzwonić się „kranówką”. Jakies pięćset metrów dzieli tę kotłownię od kotłowni zakładowej. Dolpakartu, w której urzędują brygadziści zmianowi odpowiedzialni za dostarczenie tutaj przynajmniej mleka. Pół kilometra — to widać kawał drogi...

Raz — siup. I jeszcze raz. I jeszcze. Żużel trzeba wyeksponować na zewnątrz. Przez umieszczone trzy metry nad głową okienko. Więć — siup. Już niewiele zostało, tylko kilkanaście szuflów...

Przejeżdżał kiedyś Rogalski przez Piaseczno. Traf zdarzył, że

TACY TU LUDZIE

DOMINIK KRZYCKI

był świadkiem wypadku. I dowiedział się, że dla uderzonego przez samochód dziecka trzeba natychmiast krwi. Po raz pierwszy wówczas jego krew przetaczano bezpośrednio: z żyły do żyły. I może dlatego tak pamięta to zdarzenie sprzed lat. Już nigdy więcej nie widział tak wyraźnie, jak jego krew ratuje czyjeś życie. Bo co innego WIEDZIEĆ, a co innego WIDZIEĆ.

Od 1959 roku Bronisław Rogalski oddał blisko 30 litrów swojej krwi. Prawie sześciu ludzi można by nią napęścić — żartuje. Nie był to więc nigdy chwilowy kaprys, lecz świadome działanie, konsekwentnie realizowana życiowa postawa. Ale o tym już w kotłowni nie rozmawiamy, niezręcznie przecie...

O zwyczajnych sprawach porozmawiamy. O tym na przykład, że nie odbyło się w tym roku w Chojnowie spotkanie honorowych dawców z okazji przypadających co roku w listopadzie „Dni Honorowego Krwiodawstwa”. Dzwonili z lubińskiego Oddziału PCK, żeby wydelegować 20 dawców na uroczystość do Lubina, ale pan Rogalski uważa, że nie powinno być żadnych wyjątków. Obiecano więc zrobić spotkanie w Chojnowie i na tym się na razie skończyło. O tym to właściwie też niezręcznie jakoś mówić — może to wyglądać na skarżenie się...

Jest w Chojnowie 155 honorowych dawców krwi. Szesnaśtu z nich już dawno oddało ponad sześć



Fot. Stanisław Celoch

sem Terenowego Koła Honorowych Dawców Krwi, a teraz został wybrany prezesem klubu przy Dolpakarcie — powołanego we wrześniu przez 28 pracujących w zakładzie honorowych dawców. I chcą założyć bank krwi, ale z tym są jakieś trudności. Szkoda, bo dla pracowników Dolpakartu byłaby wtedy zawsze krew, nie musieliby w razie czego szukać.

PRZYSZEDŁ zmiennik. Można opuścić ciasny kantorek, zaciągnąć się świeżym mroźnym powietrzem. Jakie to szczęście po tej kotłowni, że znowu człowiekowi może być zimno. Zanim pójdzie do domu, gdzie czeka na niego żona, dwie córki i syn, pokaże mi jeszcze sąsiedni blok i powie:

— W Chojnowie mamy naprawdę dobrych dawców. W tym domu mieszka pani Janina Kałat. Też oddała około trzydziestu litrów.

Zaś dyrektor chojnowskiego szpitala, dr Andrzej Pawłowski powiedział mi później, że jak długo pracuje w tym szpitalu, to jest od czternastu lat, nie zdarzyło się jeszcze, żeby z krwią były jakiekolwiek kłopoty.

— Jak trzeba, to dwudziestu się naraz znajdzie. Tacy tu ludzie...

Poszedł pan Rogalski sprawdzić temperaturę wody! w samą porę, okazało się 107 stopni. Awaria! Pompa nie działa, woda się w zbiorniku gotuje! Uruchomiona zostaje pompa awaryjna. Wszystko w porządku. Już po strachu.

„Co mnie to obchodzi. Mnie pan nie dajesz” — usłyszał kiedyś Rogalski od lekarza. A wszystko dlatego, że chciał być przyjęty poza kolejną, co mu się prawnie należy. To miło coś takiego usłyszeć? Pan Rogalski rozumie, że lekarz najpierw przyjmie dziecko, starszaka, ciężko chorego. Ale kiedy nie czeka w kolejce ani dziecko, ani starszaka, ani gorączkujący — można wtedy okazać wdzięczność honorowemu dawcy przyjmując go pierwszego.

Albo niech się nie daje uprawnień, skoro ich się nie chce lub nie może przestrzegać. Ilość honorowych dawców przez to na pewno nie zmniejszy się. Przecież nie za te mizerne przywileje ludzie oddają krew. To chyba jasne.

Bronisław Rogalski jest preze-

MISTRZ popiera fuchy. Więcej, mistrzowi na nich zależy. Jest to dla niego zwykła, handlowa transakcja. Nie ma obawy — czas wykorzystany na fuchę zostanie człowiekowi zapisany. I odebrany. Mistrz nie lubi tylko jednego: jak mu się o fusze nie melduje. Jeśli ktoś poprosi, to nie ma przeszkód — zostać po godzinach rób, co ci potrzeba. Nielegalne fuchy tępi. Takich zresztą od dawna nie ma, bo i po co. Bo mistrz Teofil Musiołek twierdzi, że powinien być dla swoich ludzi przyjacielem. Nie kumpłem, a przyjacielem właśnie.

— W zespole musi być partnerstwo, dogadanie się. Trzeba rozmawiać z człowiekiem, żeby móc coś zrobić, trzeba myśleć. Oceniam każdego indywidualnie, muszę wiedzieć jak pracuje, jak się zachowuje. Obserwuję, jaki ma wpływ na innych. Oni wszyscy powinni czuć, że traktuję ich jednakowo. Nikogo nie faworyzuję. Okazywanie sympatii jednemu człowiekowi źle wpływa na pozostałych. Ludzie muszą wiedzieć, że każdy z nich może przyjść do mnie ze swoimi sprawami, także bardzo osobistymi i że ja wszystkim postaram się pomóc.

Musiołek mistrzuje od 22 lat, z tego siedem w „Legmecie”, na wydziale mechanicznym. Kieruje trzydziestoosobowym zespołem był szlifierzem w chocianowskim FUM-ie. Groziła mu pylica, więc odsunął go od maszyny. Miał być mistrzem do czasu podreperowania zdrowia. Odnalazł siebie na tym stanowisku. I pewnie siedziałby dalej w Chocianowie, gdyby nie dorastające dzieci, przed którymi stała perspektywa dojazdów do legnickich szkół. Wobec tego tata postanowił, że to on będzie dojeżdżał do pracy i całą rodzinę przemieścił do Legnicy. Z czasem przeszedł do „Legmetu”.

Mistrz Musiołek ma bardzo duże uprawnienia. Dyrektor do spraw technicznych, inżynier Bernard Słazak to potwierdza. I jeszcze dorzuca bogactwo własnych doświadczeń. Sam był mistrzem. Ale pytanie „Kto to jest mistrz?” wprowadza go w zakłopotanie.

— Kto to jest mistrz? Według nomenklatury przyjętej oficjalnie — średni dozór techniczny. Łącznik między kierownikiem wydziału, a pracownikiem bezpośredniego produkcyjnym. Jest jeszcze szczebel pośredni — brygadzysta, ale nie w każdych warunkach, nie na każdym wydziale. Mistrz, w moich oczach, to jest człowiek, który najlepiej zna ludzi. Który powinien umieć przekazywać wszystkie polecenia dyrekcji bezpośrednio do wykonania na warsztacie pracy. To jest podstawowa rola mistrza. Druga sprawa to bezpośrednia współpraca z ludźmi, reagowanie na ich potrzeby nie tylko zawodowe, ale i związane z jego sprawami, kłopotami rodzinnymi. To powinien być również w pewnym sensie ojciec podległych pracowników.

Dyrektor Słazak globalnie patrzy na mistrzowskie uprawnienia. Zakład dostaje ściśle określone zadania, które wymagają dużego wysiłku. Mistrz nie ma możliwości wyboru zadań, otrzymuje je do realizacji. On powinien być motorem od „napinania” roboty. Na jego głowie jest określenie optymalnego terminu wykonania pracy, a wielką umiejętnością jest wyznaczenie czasu, który mobilizuje. Mistrz musi mieć możliwość nagradzania i karania ludzi. Dlatego każdy z 64 legmetowskich mistrzów otrzymał tzw. fundusz mistrzowski w postaci talonów pieniężnych, którymi dysponuje według własnego uznania.

Zdaniem mistrza Musiolka fundusz jest jak penicylina i jak lekarstwo należy go stosować. Przede wszystkim nagradzać za szczególnie produktywny „wyczyn”. Może też służyć jako doping w trudnych sytuacjach. Za takie uważa Musiołek wykonywanie krótkoseryjnych, pracochłonnych a niskopłatnych części. („Płaci się za to zero zero nie” — powiadają tokarze).

PO „ZOLTE” i „czerwone” kartki sięga rzadko. Natomiast często zasiada z kolegami mistrzami z wydziału do dzielenia premii i nagród. Umie bronić swoich kandydatów i przekonać do nich kolektyw. Z dumą stwierdza, że jego decyzje się liczą. U podwładnych i u przełożonych. W ogóle nie na-

CAR, BÓG,

ANNA STOKROCKA



Teofil Musiołek: — Mój dzień pracy rozpoczyna się od podchodzenia do każdego stanowiska pracy.

rzeka na swoich zwierzchników: „Dyrekcja nie robi nic, żeby mi zaszkodzić”. Ale czasem ma za złe, że poza jego plecami zapadają decyzje, które właściwie należą do niego. Nie pomaga to w umacnianiu autorytetu. Podpiera się starą jak świat maksymą, że każdy ma i zna swoje obowiązki, a kierownik niech nie traci energii na nie swoje sprawy.

Dyrektor Słazak i mistrz Musiołek nie różnią się w poglądach na pracę z ludźmi. Dzień pracy Musiolka zaczyna się od operatywek u kierownika wydziału. Potem idzie do ludzi. Podchodzi do każdej maszyny, przekazuje dzienny plan pracy, rzuca czujnym okiem na pracownika, sprawdza, w jakim jest humorze, czy wyspany, skacowany. I w zależności od tego ustawia robotę. Ale tych, co podpadli, na długo sobie zapamiętuje. Co jakiś czas dogląda zespołu. Przed pierwszą porządkową dla działu planowania komunikat o stanie zaawansowania prac. Najważniejsze są dla niego: praca, plan i dyscyplina.

— Rola mistrza jest wszechstronna. Przede wszystkim musi dbać o swoją grupę pracowników pod względem socjalnym, bhp, życie w kolektywie. To znaczy znać nawet sprawy prywatne swoich pracowników. W sprawach zawodowych to przede wszystkim organizacja pracy. Jako strona oddziaływająca na pracowników muszę dbać o wychowanie, przyuczenie, nauczanie młodych ludzi.

Doceniają chyba młodzi ten wysiłek, skoro uznali Musiolka za najlepszego na wydziale mistrza i wychowawcę młodzieży.

Mistrz Musiołek nie tylko szkoli narybek. Sam też się uczy. Dyrekcja dba o mistrzów i co roku kilkunastu z nich kieruje na kursy mistrzów dyplomowanych. Obie strony uważają te kursy za potrzebne. Dyrektor Słazak twierdzi, że większość mistrzów po kursach

skutecznie wykorzystuje w praktyce zdobyte wiadomości. Musiołek potwierdza tę opinię, aczkolwiek liczy też na dodatek 750-złotowy, który powiększy jego skromną pensję. Bo płacą mistrzom kłopoty. A wymagają wiele. I w tej rozbieżności inżynier Słazak i mistrz Musiołek widzą przyczynę, dla której ludzie niechętnie godzą się na obejmowanie tego stanowiska. Co prawda w „Legmecie” większość mistrzów to ludzie młodzi, ale pozyskani z niemalym trudem.

— Wygodniej jest pracować przy maszynie. Większe pieniądze, mniej odpowiedzialności za innych, więcej spokoju — potwierdza opinie kolegów Zofia Szymańska, mistrz od 5 lat na wydziale elektrycznym. Ją też długo namawiano, by zostawiła stołek brygadzysty. Mistrz Szymańska sądzi, że powinna przede wszystkim ludziom pomagać. I to nie tylko w sprawach fachowych, ale we wszystkim, z czym do niej przyjdą. Czasem wypadnie więc rozstrzygać nawet konflikty małżeńskie. Zespół ma mieszany, męsko-damski i, choć kobieta, twierdzi, że właśnie z mężczyznami łatwiej się pracuje. Są bardziej konkretni, nie marudzą, nie robią uników. To, że ma postuch wśród ludzi, jest dla niej miernikiem autorytetu. Zdobyła go sobie jak myśli, przede wszystkim gotowością służenia radą, pomocą w każdej chwili.

Autorytet mistrza buduje między innymi konsekwencja i słowność. Dlatego mistrz Musiołek może pozwolić sobie na popieranie fuch. Bo z fuch ludźmi też są rozliczani. Przytacza przykład z tegoż rocznego lata. Przyszedł do niego tokarz ze zniszczonym elementem kosiarki. Chciał wytoczyć nowy na swojej maszynie. Mistrz pozwolił, bo wie, że gdy zagrożony będzie plan, gdy trzeba będzie zostać po godzinach, albo zrobić coś ekstra — na tego człowieka będzie mógł liczyć. Tak samo zresztą sprawę przedstawił rewidentowi z kombinatu.

Ale autorytet mistrza nie rodzi się od razu. Droga do niego jest długa i nieprosta. I dlatego mistrz z „ELPO” Wanda Nowicka o autorytecie nie mówi. Za krótko ciągnie ten wózek.

— Po trzech latach pracy nie można jeszcze mówić o prawdzi-



Wanda Nowicka (z lewej) i Zofia Szymańska: — Najbardziej przeszkadza brak podręcznego magazynu maszyn.

PRZYJACIEL

CZESŁAW PAŃCZUK

wym autorytecie. Po prostu ludzie są dobrzy. Zresztą nie sądziłam nigdy, że zgodzę się na przyjęcie propozycji mistrzowania. Ale tak jakoś wyszło. Przedtem byłam brygadystką, a wcześniej szwaczką.

W „Elpo” nie brakuje kandydatów na mistrzów. Więcej, każdy prawie pracuje na awans. Mistrz Zofia Saskowska upatruje w tym główną przyczynę, dla której szwaczki garną się do nauki w technikum. W jej przekonaniu jest to jedna z najpewniejszych dróg uzyskania mistrzowskiego stołka.

„Elpowscy” mistrzowie kierują bardzo licznymi zespołami — przeciętnie po stu ludzi w 3-4 brygadach. Pracują na dwie zmiany.

— Zdano u nas egzamin obciążenie mistrza odpowiedzialnością za obie zmiany, na których pracują jego ludzie — ocenia dyrektor d/s produkcyjnych Henryk Baran. — Zdajemy sobie sprawę, że dodaliśmy im w ten sposób sporo roboty.

Dzień pracy mistrza nigdy więc nie kończy się na ośmiu godzinach. W „Elpo” Zofia Saskowska, pracując na pierwszej zmianie, zawsze zostaje dłużej, żeby zorganizować i przekazać robotę brygadystom po południu. Kiedy wypadnie jej druga zmiana, jest na wydziale dużo wcześniej, żeby wiedzieć, jak zaawansowana jest praca. Mistrz Musiołek nawet w domu może być niepokojony sprawami wydziału i wyrwany ze snu w środku nocy. Bo w „Legmecie” odpowiedzialność mistrza rozciągnięto na całą dobę. Mistrz Nowicka rozumie odpowiedzialność także tak, że czasami w skrajnie trudnych sytuacjach sama musi usiąść do maszyny. Powiedziała nam o tym w tajemnicy, bowiem dyrekcja tępi u mistrzów takie skłonności. „Mistrz powinien myśleć i organizować robotę, a nie sam się za nią brać” — twierdzi dyrektor Baran.

Dyrektor wymaga od mistrza, wszechstronnego wykształcenia zawodowego, organizowania pracy, życzliwości dla swoich podwładnych i zwierzchników, rozumienia ich i harmonijnej z nimi współpracy, ale i stawiania wysokich wymagań i konsekwentnego kontrolowania.

C ZESŁAW Malinowski, mistrzujący od 17 lat, „ojciec” trzech młodych mistrzów, z których „dwóch się sprawdziło, jeden jeszcze się męczy”, na pierwszym miejscu wśród mistrzowskich zalet stawia znawstwo zawodu, zaraz potem — znajomość ludzi. Mówi, że w codzienności mistrzowskiego autorytetu nie ma rolę odgrywa solidne i słuszne nagradzanie ludzi docenianie ich trudów chwaleń, kiedy to jest potrzebne, ale i karanie gdy tak ułożą się okoliczności. I zaraz dodaje:

— Przez dziewięć miesięcy tego roku cały zespół siedział nad trudnymi spodniami na eksport. Ludzie się narobili, zawsze zresztą są gotowi zostać po godzinach, a ja akurat nie miałem ani grosza funduszu mistrzowskiego. Zakład miał przekroczenia finansowe.

„Elpowscy” mistrzowie są zgodni, gdy przychodzi im mówić o trudnościach. Są te zakłady jedną z

najbardziej sfeminizowanych firm w Legnicy. Zatrważająco duża jest absencja chorobowa wśród załogi. Kobiety chorują, przynoszą zwolnienia na siebie i na opiekę nad dziećmi. Niespodziewany brak szwaczki na którejkolwiek maszynie dezorganizuje pracę i stwarza kłopot dla mistrza. Ale jego w tym głowa, aby brak pracownika nie odbił się na ilości i jakości produkcji. Mistrz Saskowska widzi także związek wzrostu zachorowalności z wprowadzaniem nowych modeli. Dyrekcja to potwierdza.

Mistrz Malinowski jest zdania, że częste zmiany asortymentów dezorganizują mu robotę, wybijają z rytmu. Ale on nic na to nie poradzi, bo taka jest specyfika „Elpo”: o kształceniu i zaskakiwaniu nowośćami rynek krajowy i zagraniczny, wy-

śniej kłopotuje się z tym mistrz. On bowiem musi pobrać wykroje. On w razie niezgodności z dokumentacją reklamuje jakoś półproduktów krojowni. On też staje przed zadaniem poinstruowania zespołu, jak wykroje pozyskiwać.

Owo dyrektorskie spojrzenie na problemy mistrzów każe też powiedzieć o ich wzbranianiu się przed nowymi tkaninami. Dyrektor Baran ma rozumienie dla tej sprawy. Uważa, że potrzebny jest w takiej sytuacji doping ze strony mistrza. Jego fachowość i umiejętności przemawiania do ludzi są wtedy bezcenne i najbardziej przydatne. Mistrz zaś ma okazję, by się wykazać.

Dyrekcja nie obarcza mistrzów nadmiarem biurokracji. To prawda, zainstalowani nie narzekają na ilość papierków, którą codziennie muszą wypełniać. A jednak mistrzowie w „Elpo” nie są rozpieszczani. Przydałaby się większa o nich troska. Mistrz Nowicka wie coś o tym. Kiedy została mistrzem, praktycznie zdana była na bagaż własnych doświadczeń i tego, co na tzw. rozmowie wstępnej od zwierzchników usłyszała. Stała przed odpowiedzialnością kierowania stu osobami, z których wiele

perswadując, przekonując albo prosząc. Bywa jednak, po co sięgam niechętnie, że muszę wymóc na kimś wykonanie roboty poprzez krzyk.

Z GADZA się z tym mistrz Nowicka i uzupełnia wypowiedź swego wychowawcy wyniesioną ze swej pracy obserwacją, że wiele zależy od zespołu. Jeśli, jak mówi, załoga jest zrównoważona, wówczas nie ma sławiania okoniem wobec mistrzowskich poleceń. I taki też, co z dumą podkreśla, jest jej zespół.

Mistrz Musiołek, choć pracuje w odległym branzowo „Legmecie” w pełni zgadza się z dyrektorem z „Elpo”, że niedobrze jest, kiedy mistrz sam siada przy maszynie:

— Ten, kto ma pchać wózek, niech pcha. Ja mam organizować pracę. Nie mogę koncentrować się na jednym stanowisku. Muszę myśleć o całości. Mogę stanąć na dwie godziny przy maszynie, ale będą to godziny stracone, bo w tym samym czasie mogłbym być na pięciu innych stanowiskach i dopilnować. Zły przykład daje mistrz, jeśli własnymi rękami pokazuje, jak



Czesław Malinowski: — Wychowałem trzech mistrzów. Dwóch się przyjęło. Jeden się męczy...



Zofia Szymańska: — Mam dobrą załogę. Zdjęcia: Krzysztof Raczkowski

przedzając konkurentów z tymi nowymi modelami w ogóle mają tu sporo skłopotów. Raz ze Josewuje się wtedy wyraźny spadek wydajności pracy. Dwa — nie rają często mistrzowie pod ręką potrzebnych maszyn. To znaczy naszyły do wszystkich operacji zakłady posiadają, ale gdy bardzo ich potrzeba okazuje się, że są na odległym oddziale „B” lub jeszcze dalej, w fili lubińskiej. Nim maszyna dojedzie na Słubicką — godziny, a czasem dni mijają. Ten czas mistrz Malinowski traktuje jako stracony wszelkimi dostępnymi mu drogami próbuje jakos temu przeciwdziałać. Zresztą nie tylko on. Dyrektor Baran mówi o ciasnocie, która uniemożliwia organizację podręcznych mistrzowskich magazynów. Dlatego też i tak szczupłe korytarze zapchane są maszynami.

Mistrzów rozlicza się przede wszystkim z roboty, ale dyrektor Baran ma pełną świadomość przeszkód, przed którymi oni stają. Widać np., że częstokroć „walczą” zespoły ze złymi wykrojami. Wcze-

legitymuje się stazem kilkakrotnie dłuższym niż ona. Dopiero po jakimś czasie wysłano ją na kurs do Łodzi, gdzie nauczyła się bardzo wiele. Miała bowiem zajęcie z organizacją pracy mówione kursantom dużo o roli mistrza w „Elpo”. Nowicka stwierdza, że żadna szkoła nie przygotowuje swego wychowanka do mistrzowskiej profesji. Wzdycha teraz za następnym kursem, bo uważa, że wiedzę trzeba odświeżać i poszerzać. A „elpowskim” mistrzom rzadko zdarza się wyiażdżać na szkolenia.

Saskowska powiada, że najtrudniej być mistrzem idealnym w sferze tzw. stosunków międzyludzkich. Tutaj, oni, mistrzowie skazani są na osobiste wyczuwanie i samokształcenie w zakresie socjologii i psychologii pracy.

Wachlarz sposobów dotarcia do ludzi mają mistrzowie w „Elpo” wszechstronny i podobny jak w innych zakładach. Mistrz Malinowski uogólnia to następująco:

— Mam wypróbowane dwie metody pracy z ludźmi. Najczęściej

należy robić. Jak ludzie wyczuwają, że jest skłonny za nich pracować, to mogą to wykorzystywać.

W EDŁUG dyrektora Barana mistrz jest na wydziale „carnem i bogiem”, człowiekiem, od którego wszystko zależy i który wszystko może. Oczywiście w stosunku do swojego zespołu. I z tym mistrz Musiołek się nie zgadza. Dla niego znacznie ważniejsze jest, żeby ludzie uważali go za przyjaciela, nie za poganiacza. Choć w obu zakładach panuje przekonanie, że najważniejsze jest wzajemne zaufanie.

KONKRETY

9

K

IEDY mija pięćdziesiątka, nasuwają się różnorodne refleksje. Dotyczą może nie tyle przeszłości, ile przyszłości i to nawet dość odległej. Do tej pory nie było czasu — praca, dom, często działalność społeczna — nie pozwalały na zastanowienie się nad tym, co będziemy robić za kilka czy kilkanaście lat. Po przekroczeniu pewnej bariery wieku wszyscy uzmysławiamy sobie, że prędzej lub później czeka nas emerytura i dużo wolnego czasu. Co z nim zrobić, jak go wykorzystywać, czym się zajmować...?

HENRYKOWI STACHOWSKIE-MU — pracującemu w warunkach szkodliwych dla zdrowia — przy wulkanizacji gumy, w Zakładach Obuwia w Złotoryi podjęcie decyzji nie sprawiło kłopotów. W wieku młodzieńczym, przez kilka lat grał w piłkę nożną, a po zakończeniu kariery zawodniczej skończył następować. Jego syn — Julian — wywalczył wicemistrzostwo Polski juniorów w akrobatycznych skokach na trampolinie. Za zgodą ojca zaangażowano go do cyrku, z którym był na występach w Rumunii, Monte Carlo i ostatnio na Florydzie.

— Zdecydowałem się na turystykę rowerową, a ściślej mówiąc — krótsze i dłuższe samotne rajdy po regionie i kraju. Uznałem to za najbardziej odpowiadającą mi formę spędzania czasu. Jako były sportowiec odczuwałem przecież potrzebę ciągłego ruchu. Uznałem, że jazda na rowerze jest doskonałą okazją do podtrzymania dawnych nawyków. Nigdy przedtem nie dosiadałem dwunożnego rumaka, w celach tak zwanych wycieczek. Postanowiłem spróbować. Dokładnie 25 marca tego roku 1973, na rowerze turystycznym, pokonałem 19-kilometrowy odcinek Złotoryja — Prusice — Złotoryja. Kiedy dotarłem do „mety”, ledwie wszedłem do domu po schodach. Wszystko mnie bolało, a szczególnie nogi i ręce. Nie zniechęciłem się i systematycznie wydłużałem dystansy moich podróży. Już 15 lipca tego samego roku wyruszyłem w pięciodniową wycieczkę do Bydgoszczy, pokonując dokładnie 804 kilometry. Tym razem udało się. W sumie przejechałem w 1973 roku 2032 kilometry. Ta forma wypoczynku, wymagająca silnej woli i systematyczności, wciągnęła mnie bez reszty. Rok później szło już znacznie lepiej, a w 1975 — odwiedziłem — oczywiście na rowerze — syna przebywającego w szkole cyrkowej w podwarszawskim Julinku. Julek bardzo się zdziwił, kiedy zastał mnie potwornie zmęczonego w pokoju internackim. Wiedział o moich planach znacznie wcześniej, ale nie bardzo chciał wierzyć, że zrealizuję raz podjęte zamierzenie. Również w latach 1976—77 postępowałem podobnie i starałem się, w zależności od wolnego czasu, zwiększyć dystans „pożartych” kilometrów.

— Jeżeli już coś postanowiłem, muszę zrealizować. Nie dla poklasku, ale własnego zdrowia, samopoczucia i wiary w swoje siły. Nie dać się starości, nie wkroczyć w nią zgrzybiałym i czuć się zawsze zdrowo — oto moja generalna zasada. Wywodzę się z biednej ro-

dziny i nie miałem możliwości zwiedzenia kraju. W kolarstwie turystycznym dostrzegałem możliwość zrealizowania marzeń młodzieńczych. Połączyłem więc te walory z utrzymywaniem sprawności fizycznej i turystyką, na którą normalnym trybem musiałbym poświęcić znaczne sumy.

— Już cztery lata jeździ pan samotnie po kraju. Jak przyjmują kolarskie hobby koledzy i sportykcami na trasach ludzie?

— Bardzo różnie. Koledzy początkowo po cichu pokpiwali ze mnie. Przekonali się jednak, że u parcie realizuję zamierzenia. Tak było 7 września 1975 roku. W dniu tym odbywała się w Oleśnicy doinowska branżowa spartakiada sportowa. Wszyscy uczestnicy pojechali autokarem, ja natomiast rowerem. Wyjechałem oczywiście znacznie wcześniej. Tuż przed Oleśnicą dopędził mnie autokar, a koledzy przyjaźnie machali rękami. W zawodach nie brałem udziału, gdyż po krótkim odpoczynku musiałem ruszać w drogę powrotną. Nie oznacza to, że wymiguję się od startów. Czynie to jednak tylko w spartakiadach zakładowych. Tu okazuje się, że moje zamierzania przynoszą spore korzyści. Ostatnio w biegu na tysiąc metrów pewnie wygrałem z młodszymi o 10 lat rywalami, zostawiając drugiego na mecie aż o 50 me-



Fot. Leszek Kucharski

ROWEREM DO MOSKWY

ZYGMUNT ŁUSZCZ

trów. W zakładzie wszyscy przywykli już do mojego hobby. Inaczej jest gdzie indziej. Często napotkane grupki młodzieży śmieją się ze mnie i witają mniej więcej takimi okrzykami: Któż to jedzie — Szurkowski czy Szozda? Nie daj się dziadku! Tempo dziaduniu...! Mają zresztą rację. Rzeczywiście jestem dziadkiem, tylko nie wiem skąd mają aż tak szczegółowe informacje. Moją pasją zainteresował się 35-letni kolega i nawet pojechał ze mną do Brzegu. Wszystko było dobrze do momentu kupienia samochodu. Wówczas stwierdził, że nie zamierza się wygłupiać. Różny jest więc stosunek do turystyki rowerowej.

Warto jeszcze wspomnieć o zachowaniu się kierowców w stosunku do samotnych rowerzystów. Nagminnie nie uważają nas za równorzędnych użytkowników drogi. Z reguły pchają się na trzecie, go, spychają słabszy pojazd na pobocza, a niejednemu raz trzeba nawet zjechać do rowu lub na łąkę czy pole. Raz nawet, tuż koło Złotoryi, najechała na mnie warszawa i całe szczęście, że obeszło się bez przykrego w skutkach wypadku.

— Podobno wybiera się pan na igrzyska olimpijskie do Moskwy...

— Od dawna nosiłem się z zamiarem odwiedzenia Związku Radzieckiego, a szczególnie Moskwy. Chciałem to uczynić będąc już na rencie. Zmieniłem zdanie i chcę połączyć przyjemne z pożytecznym — poznanie Kraju Rad i o-

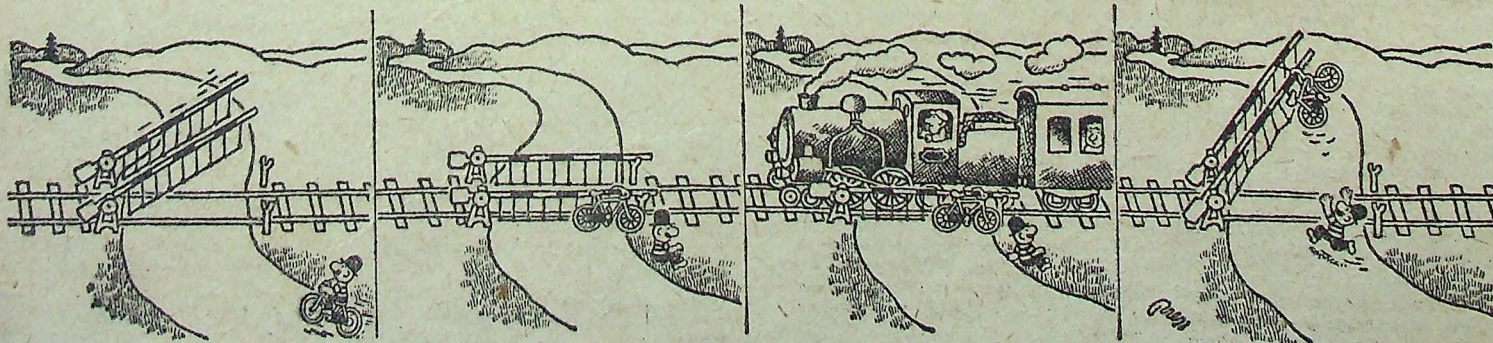
bejrzenie niektórych imprez olimpijskich. Cały wyjazd potrwa miesiąc — w okresie urlopu. Chcę pokonać trasę Złotoryja — Wieluń — Zwoleń — Terespol — Baranów — Mińsk — Orsza — Smoleńsk — Wiaźma — Moskwa w ciągu dziesięciu dni, przejeżdżając dziennie w granicach 130—220 kilometrów, a więc średnio w tempie 20 kilometrów na godzinę. Potem kilkanaście dni pobytu w Moskwie i start w drogę powrotną. Tak długi wyjazd trzeba oczywiście poprzedzić solidnym treningiem. Generalnym sprawdzianem będzie rajd, jaki zaplanowałem na rok 1979 na trasie (o zbliżonej długości) ze Złotoryi do Szczecina, Krynicy Morskiej i z powrotem do Złotoryi...

Często pytają się różni ludzie, czy moje plany kończą się na roku 1980. Odpowiadam im, że absolutnie nie. Będę dalej poruszał się na krajowych trasach, a gdy będę już na emeryturze odwiedzę wszystkie województwa. Dotychczas doskonale poznałem Dolny Śląsk, a w przyszłości chcę w miarę dobrze poznać i inne zakątki Polski.

Henryk Stachowski chciałby znaleźć partnerów do swoich wędrówek kolarskich. W związku z tym występuje z inicjatywą zorganizowania w zagłębiu międzywieskiego w rodzaju klubu starszych panów — miłośników turystyki kolarskiej. Dotychczas znalazł dwóch chętnych złotoryjan, którzy zapalili się do tego rodzaju przedsięwzięcia i razem z nim zamierza-

ją wybrać się do Moskwy. Aby jednak jechać grupowo — trzeba znaleźć więcej amatorów — przynajmniej pięciu. Bo to i stosunkowo liczna grupa, i, jeżeli zostanie jednolicie ubrana, będzie ładnie prezentować się na zagranicznych trasach. Z jej wyposażeniem nie powinno być kłopotów, gdyż pomocy udziela z pewnością władza miejskie, zakłady pracy i inne jednostki. Jesteśmy przekonani, że chętnych nie zabraknie w województwie legnickim. Znajdą się oni zapewne nie tylko w Złotoryi, ale również w Legnicy, Lubinie, Głogowie i pozostałych ośrodkach. Licząc się z taką możliwością Henryk Stachowski prosi o jak najszybsze kontakty z nim na adres: plac Wolności 31 m. 5, 59-550 Złotoryja. Zamierza skompletować zespół panów, którzy ukończą 50 rok życia (jest to jedyny wymóg), przystąpić do treningów i rozpocząć załatwianie spraw organizacyjnych związanych z tym zagranicznym wojażem.

Jedną z najciekawszych form spędzania wolnego czasu jest turystyka rowerowa. Pilnie obserwować więc będziemy dalsze poczynania nie tylko Henryka Stachowskiego, ale i innych zwolenników utrzymywania sprawności fizycznej, popierać je i propagować.



DZIEWIĄTEGO grudnia ogłosiliśmy kolejny, piąty, plebiscyt na najlepszych sportowców i trenerów województwa legnickiego. Od tego momentu napłynęło już kilkadziesiąt kuponów z propozycjami dotyczącymi kolejności najlepszej dziesiątki sportowców i piątki trenerów. Różnie głosują nasi Czytelnicy. Jedni wybierają swoje typy z przedstawionej listy, inni zgłaszają nowych — ich zdaniem zasługujących na wyróżnienie — kandydatów. Wszyscy z reguły traktują to jako przyjemną zabawę. Trudno bowiem określić, kto jest najlepszy, a kto może zająć dalsze miejsca. Ocena wartości sukcesów w poszczególnych dyscyplinach sportu jest bardzo trudna i dlatego też tego rodzaju głosowania traktuje się nie jako na najlepszych, ale najpopularniejszych.

Tradycyjnie już do głosu Czytelników chcemy dołączyć nasze propozycje. Zaczynamy od sportowców. Na pierwszym miejscu widzimy WIESŁAWA NIEMKIEWICZA — boksera Zagłębia Lubin, który w ostatnim roku zrobił duże postępy. Reprezentant kadry narodowej, zwycięzca turnieju o „Złotą Łódkę” w Łodzi, doskonale prezentujący się w meczach z NRD i USA. Poza tym postrach krajowych rywali, których często „rozkladał” już w pierwszych rundach. Często też nie wystawiano mu w meczach pierwszoligowych przeciwników uważając, że nie ma to sensu i szkoda słabszych narażać na wcześniejsze zakończenie walki lub nokauty.

Po Niemkiewiczu na drugim miejscu klasyfikujemy aktualnych mistrzów świata w akrobatyce — słynną zlotoryjską czwórka — LESZEK ANTONOWICZ, SŁAWOMIR HAŁADA, WOJCIECH ŚWIECIK i BOGDAN ZAJĄC (rok temu najlepszy w naszym plebiscycie). Tegoroczne sukcesy: drugie miejsce w Pucharze Świata i trzecie miejsce w telewizyjnym Polska — ZSRR — Bułgaria.

Na trzecim miejscu natomiast widzimy MIECZYŚŁAWA MASIERA. Bokser legnickiej Miedzi zrobił, zwłaszcza w ostatnich miesiącach, dużą furorę. Doskonala postawa w meczach ligowych, a szczególnie w turnieju o memoriał imienia Feliksa Stamma sprawiły, że na dłuższy czas zaaklimatyzował się w kadrze narodowej. Wszyscy fachowcy rokują mu długą karierę reprezentanta Polski. Znany i ceniony komentator „Przeglądu Sportowego” Jerzy Zmarzlik po memoriałowym turnieju napisał o nim: „Obserwuję z zainteresowaniem Mieczysława Massiera. Ma już 28 lat, ale właśnie w tym roku biłynał doskonałą formę, szczególnie w pojedynku z Torosjanem. Jego technika jest nienaganna. Czyżby duplikat Jana Szczepańskiego?”

Kolej na lekkoatletów. Wyniki drugoligowej sekcji Zagłębia Lubin są wszystkim znane. W proponowanej przez nas dziesiątce widzimy trójkę przedstawicieli tej sekcji. Jako czwartego — w plebiscycie — proponujemy LUDWIKA HAPELA. Mistrz Polski w biegach przełajowych, zdobywca pierwszego miejsca na dziesięć kilometrów w półfinałach Pucharu Europy w Warszawie, reprezentant kraju w meczach z ZSRR, NRD, Szwecją i Finlandią. Tuż za nim sklasyfikowalibyśmy DANUTĘ CAŁY. Wszechstronna lekkoatletka, której koroną specjalnością jest pięciobój. W tej konkurencji jest aktual-

na wicemistrzynią kraju, a ponadto dwukrotnie poprawiała rekordy Polski. Członkini kadry narodowej, objęta przygotowaniem do XXII Igrzysk Olimpijskich w Moskwie w roku 1980. Do tej świetnej dwójki dostosował się, od lat wysoko ceniomy, kolega klubowy, maratończyk, KAZIMIERZ PAWLIK. Zdobył brązowy medal na mistrzostwach Polski, jest reprezentantem kraju. Jesteśmy zdania, że w pełni zasługuje na znalezienie się w dziesiątce najlepszych z najlepszych.

Żadnego piłkarza. W tej dyscyplinie, niestety, nie możemy się niczym poszczycić. Trzy zespoły występujące w klasie międzywojewódzkiej, jak dotychczas, nie nie działały. W Chrobrym Głogów, Zagłębiu Lubin i Miedzi Legnica są wprawdzie wybijający się zawodnicy, ale na efekty występów każdej drużyny decyduje cały zespół. A tych ostatnich nie było i nie ma w zagłębiowskiej piłce nożnej.

Przejdźmy do trenerów. W tym

staniecie na najwyższym podium. To samo zresztą dotyczy twórcy akrobatyki zagłębia międzywojewódzkiego — ZYGMUNTA BIEGAJA. Bez niego, mimo że ma też przeciwników, trudno byłoby sobie wyobrazić rozwój tej dyscypliny. Czwórka i dwójka ze Złotoryi, doskonale zawodniczy i zawodnicy w skokach na trampolinie z Jawora i Złotoryi wystawiają mu jak najlepszą rekomendację. Nie ma więc potrzeby dalszego uzasadniania proponowanej kandydatury.

Pisaliśmy o dużych sukcesach lubińskich lekkoatletów. Nie można więc zapomnieć o trenerach. Z grona tego, naszym zdaniem, na specjalne wyróżnienie zasługuje PIOTR KACZMAREK. Właśnie jego podopieczna jest wyżej wspomniana Danuta Cały, a ponadto szkoli skoczków, z których kilku znajduje się w kadrze narodowej juniorów i młodzików i swoimi wynikami rokują duże nadzieje na przyszłość.

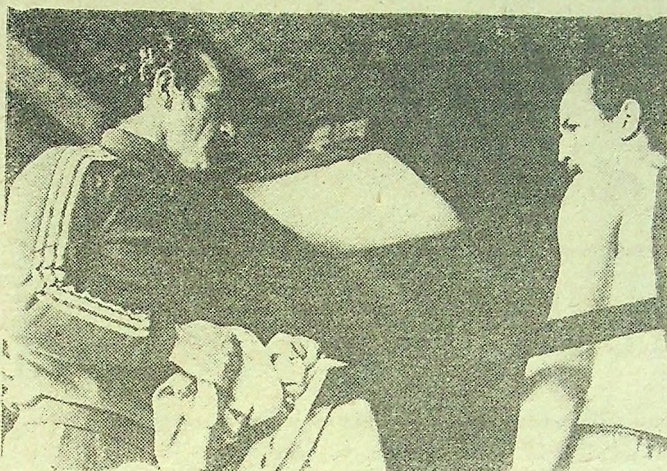
Dwóch kolejnych kandydatów to trenerzy szermierki i tenisa stołowego. JERZY SADOWSKI to już legendarna postać w wieloletniej tradycji legnickiej szermierki. Przed laty znany zawodnik, a zarazem wychowawca młodego pokolenia. Nie musimy przypominać sukcesów młodych szablistów i florecistów. Warto jednak wspomnieć nie tyle o trenerskiej, co organizatorskiej pracy Jerzego Sadowskiego, który w pewnych okresach był jedyną osobą w klubie, która zajmowała się tym sportem. Robił dostojnie wszystko, nie zrażał się brakiem działaczy i usilnie dążył do rozwoju wybranej dyscypliny.

Różnie mówi się o lubińskim tenisie stołowym. Faktem jednak jest, że dwa zespoły Zagłębia walczą w ekstraklasach. Trenerem jest znany doskonale, nie tylko w kraju, ANTONI ARBACH. Dawny doskonali zawodnik, potem znany trener i wychowawca wielu bardzo dobrych zawodników. Przeniósł się z Wrocławia do Lubina i pod jego opieką sekcja męska znajduje się w czołówce krajowej.

PRZEDSTAWILIŚMY swoje kandydatury do grona najlepszych. Traktujemy to jako głos w trwającej dyskusji. Niczego nie zamierzamy sugerować. Każdy może mieć przecież własne zdanie, a o tym jak ukształtują się listy najlepszych sportowców i trenerów zadecydują głosy naszych Czytelników.

ZYGMUNT ŁUSZCZ

NASI KANDYDACI



Wiesław Niemkiewicz i Kazimierz Paździor to propozycje redakcji „Konkretów” na najlepszego sportowca i trenera zagłębia międzywojewódzkiego. Fot. Krzysztof Raczkowski

W ostatnim okresie wiele mówiono i to pozytywnie o sukcesach szermierzy Piasta Legnica. Ich asem autowym jest RYSZARD GROBELNY. Członek kadry narodowej juniorów i wysoko notowany na liście najlepszych seniorów w szabli. Poza tym reprezentant kraju w licznych turniejach międzynarodowych. Trzecie miejsce w międzynarodowych mistrzostwach Budapesztu i czwarte na V Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży.

O akrobatyce pisaliśmy już wielokrotnie. Złotoryjska czwórka to nie żaden wyjątek. W jaworskiej Kuźni prowadzi się równie dobrą pracę szkoleniową jak w Górniku Złotoryja. Największe sukcesy odnoszą tam specjaliści od skoków na trampolinie, czy jak kto woli batusie. JANUSZ PODESZWA jest wicemistrzem ostatniej spartakiady młodzieży oraz zdobywcą trzeciego miejsca w Pucharze Polski w skokach synchronicznych. W tych ostatnich występował wspólnie z kolegą klubowym MARKIEM ŁYCZAKIEM, który ponadto jest brązowym medalistą V OSM i reprezentował barwy kraju na zawodach w Szwajcarii.

Wreszcie dyscyplina, której przedstawiciele nie figurowali na listach czterech dotychczasowych plebiscytów — jeździectwo. Tym razem na wysokie wyróżnienie w pełni zasłużył JAN WOŁOWIEC z Ludowego Klubu Jeździeckiego Tabun w Jarosławcu. W ciągu roku aż dziesięć razy zajmował pierwsze miejsca w poważnych zawodach, siedem razy drugie i dziewięć trzecie. Dyscyplina uprawiana przez Wołowca bardzo się rozwija w zagłębiu międzywojewódzkim i zyskuje coraz więcej zwolenników. Znalezienie się na liście jej przedstawicieli przyczyniło się może do spopularyzowania hippiki w naszym regionie.

Z przykrością musimy stwierdzić, że w gronie czołówki nie widzimy

gronie z wytypowaniem piątki nie powinno być większych trudności. Od lat o pierwsze miejsce rywalizuje dwóch szkoleniowców — Zygmunt Biegaj i Kazimierz Paździor. Trudno wybrać lepszego z tej dwójki. Ostatnie jednak sukcesy pierwszoligowej sekcji bokserkiej Lubina skłaniają do postawienia na pierwszym miejscu KAZIMIERZA PAZDZIORA. Doskonali szkoleniowiec i świetny wychowawca. Zresztą nie trzeba go rekomendować, gdyż jest powszechnie znany. Nie tylko z pracy trenerskiej, ale również ze spotkań — szczególnie z młodzieżą — na których barwnie i w sposób przystępny mówi o wielu skomplikowanych sprawach, nie tylko bokserskich. Trener drużyny, która nie tylko awansowała do I ligi, ale spisywała się w niej bardzo dobrze, w pełni zasługuje na

SPORTOWCY

1.
2.
3.
4.
5.
6.
7.
8.
9.
10.

Imię i nazwisko głosującego

Adres



TRENERZY

1.
2.
3.
4.
5.

WSZYSTKO ZALEŻY OD WITKA

ANNA STOKROCKA

WITEK ma trzynaście lat i jest najmłodszy w rodzinie. Pewnie dlatego w czasie rozmów o muzycznych planach zespołu Smorawińskich mówi się głównie o Witku. O tym, że musi jeszcze dużo pracować, że za mało ćwiczy, że ma duże zdolności i od niego tylko zależy jak szybko dogoni starszą o rok siostrę Aurelię. A drugie skrzypce muszą być mocne, jeśli dobry ma być cały smyczkowy kwartet. Na pierwszych skrzypcach gra Aurelia, na wiolonczeli — szesnastoletni Marek. Tata Smorawiński gra na altówce.

Witkowe umiejętności decydują zresztą nie tylko o możliwościach gry rodzinnego zespołu. Smorawińscy bowiem także śpiewają rodzinie, na głosy. Na razie jeszcze śpiewa Witek dyszkantem, ale przecież mutacja za pasem i nie wiadomo jakim głosem go natura obdarzy. Więc trzeba będzie poprawić i zmieniać opracowania piosenek i pieśni. Cięży zatem na Witku wielka odpowiedzialność za artystyczne losy całej rodziny, a on tymczasem kocha nie tylko skrzypce; uczucie niewiele mniejszym darzy Niemena i Norwida...

Rodzinne muzykowanie klanu Smorawińskich zaczęło się gdzieś około roku 1970. Chciał, jakby po-grzebać w historii, okazałoby się, że jest to właściwie „dziedziczne obciążenie”. Zarówno bowiem w rodzinie taty, jak i mamy Smorawińskich muzyka była zawsze obecna, zawsze byli ludzie zajmujący się nią profesjonalnie. Jeszcze teraz ze wszystkich muzykujących krewnych można by stworzyć niemal zespół.

Ojciec, Paweł Smorawiński, jest także profesjonalistą; gra w zielonogórskiej filharmonii, a w głogowskiej szkole muzycznej uczy najmłodszych. Jest w tej szkole

także nauczycielem swoich dzieci, co im się bardzo podoba (zawsze to przyjemnie iść na lekcję z tatą), a w czym on sam dostrzega trochę wad. No, ale tak się złożyło. Tylko mama Smorawińska nie jest zawodowo związana z muzyką. Na co dzień zajmuje się noworodkami w szpitalu miejskim. Ale mama też gra. Ostatnio nawet więcej, bo mobilizuje ją reszta rodziny. Dzieci zrobiły jej niedawno egzamin i orzekły, że nadaje się do rodzinnego zespołu, tylko musi się trochę podciągnąć. Ze względu na mamę właśnie, która gra na mandolinie zupełnie niezłe (bo na skrzypcach

Wróćmy jednak do historii. A więc zaczęło się w roku 1970. Dzieci były jeszcze małe, więc tata zaczął od śpiewania. Śpiewali, specjalnie opracowane, proste ludowe piosenki, z czasem włączali do repertuaru także pieśni bardziej skomplikowane. Potem zaś malcy zaczęli nabierać wprawy w grze na skrzypcach, wiolonczeli i można już było zacząć myśleć o grze zespołowej. Nie obeszło się tutaj bez udziału przypadku. Kiedy rodzice zapisywali Marka do ogniska muzycznego, chcieli zrobić z niego skrzypka. Ponieważ jednak skrzypcami już zajmowała



gorzej) przygotowuje się specjalny, łatwiejszy program.

— Postanowiłam, że wrócę do gry, w tym roku we Wrocławiu, w czasie koncertów na Ogólnopolskich Spotkaniach Muzykujących Rodzin. Gdy grała moja rodzina siedziałam na sali i tak im zazdrościłam, że zdecydowałam: nawet gdybym miała zrezygnować z pracy, to wezmę się za siebie i dogonię ich. Wiem, że mogę grać.

się Aurelia, kierownik ogniska zaproponował Markowi właśnie wiolonczelę, tłumacząc — pół żartem, pół serio — że może się przydać, jak zechcą stworzyć rodzinny zespół. No i wyróżył...

Nie są Smorawińscy taką zupełnie typową muzykującą rodziną. Taką, którą pasjonują się fotoreporterzy, dziennikarze Ci wolą raczej malownicze wiejskie, rodzinne kapele, złożone z pół tuzina (przynajmniej!) dzieci ubranych w barwne ludowe stroje, śpiewających proste przyspiewki, prezentujących „nieskażony” folklor. Kwartet Smorawińskich był na pierwszym wrocławskim spotkaniu jedynym zespołem tego rodzaju. Również w tym roku, występując w nieco zmodyfikowanym składzie, z gitarą zamiast drugich skrzypiec (ach, ten Witek!) byli sami w swojej klasie.

— Wrocławskie Spotkania Muzykujących Rodzin to właściwie przede wszystkim spotkania zespołów ludowych — mówi mama Smorawińska. — Zauważyliśmy prawie panikę na sali, kiedy zapowiedziano, że wystąpimy z klasycznym repertuarem, z muzyką Czajkowskiego, Brahmsa, Dworzaka. A w ogóle to jest to bardzo przyjemna impreza. Gospodarze są tacy gościnni i wszędzie taka serdeczność. Występowaliśmy w Klubie Budowlanych, a potem śpiewaliśmy na koncercie muzyki rosyjskiej i radzieckiej. Mielśmy specjalnie opracowane dwie piosenki: „Ech, ta droga” i „Zawsze niech będzie słońce”.

Słyszałam „Drogę” w wykonaniu Smorawińskich i przyznaję, że nawet bardzo starej, bardzo znanej piosenki słucha się z zainteresowaniem i wzruszeniem, kiedy śpiewana jest w nowy i jakże niebanalny sposób.

Trójka młodych Smorawińskich myśli poważnie o muzyce. Marek jest już uczniem średniej szkoły muzycznej we Wrocławiu. Daleko to trochę ale nie przeszkadza w cotygodniowych przyjazdach do Głogowa. Marek musi być co sobotę w domu, bo przecież z rodzinnym zespołem też trzeba poćwiczyć. Na nadmiar wolnego czasu więc nie narzeka. Zapytany, jak go wykorzystuje, powiedział:

— No, ćwiczę. Ja żyję muzyką. Zauważyłem, że im więcej się nią zajmuję, lepiej poznaję, tym bardziej mnie wciąga. Chcę być coraz lepszy. — W tej deklaracji szesnastolatka pobrzmiewa nawet nutką zdumienia.

Aurelia i Witek też deklarują prawdziwie muzyczną pasję. Oboje wiedzą już, że na pewno pójdą do średniej szkoły, jak Marek. Nie przeszkadza im brak rozrywek typowych dla ich rówieśników. Witek mężnie twierdzi, że szkolne kontakty z kolegami są wystarczające i wcale nie musi z nimi spędzać całych popołudni — ma skrzypce i rodzinne śpiewy. Aurelia zaś stwierdza rozsądnie, że w ósmej klasie sama nauka jest tak absorbująca, iż nawet na muzyczne ćwiczenia nie zawsze starcza czasu. A jeszcze mamie trzeba pomóc.

Tata, szef zespołu, dobrze mówi o swoich współpracownikach.

Partie wiolonczelowe syn wykonuje zupełnie dobrze, dużo pracuje. Córka też radzi sobie ze skrzypcami. Jak tylko Witek nas dogoni, a musi po prostu więcej pracować będziemy mogli wziąć się za poważniejszy repertuar. Już od roku opracowujemy dwa kwartety smyczkowe Haydna, ale drugie skrzypce są ciagle za młode. Myślę, że w przyszłym roku na spotkaniu we Wrocławiu będziemy je mogli zaprezentować. Przygotujemy także coś razem z mamą, żeby nie siedziała na sali tylko jako widz. Jak rodzina, to rodzina, w całości.

Wspominają z uśmiechem swoje początki. Jak musieli najpierw umykalnic sasiadów, którzy nie mieli zrozumienia dla ich muzycznych pasji, i nie raz, nie dwa, ostro interweniowali. Potem przystępowali się, a i rodzina grała coraz lepiej. Teraz ćwiczą w pomieszczeniach szkoły muzycznej, u taty Smorawińskiego. Chłopcy w początkach swojej kariery też spotykali się z kpinkami kolegów. Ale wyrosli z tego.

Znają w Głogowie Smorawińskich. Rodzinny zespół zapraszany jest na samodzielne koncerty do zamku, uczestniczy w miejskich uroczystościach; występował na przykład w czasie otwarcia Miejskiego Ośrodka Kultury, jeździł na występy do szkoły muzycznej w Legnicy i Wrocławiu, a przede wszystkim od dwóch lat jest naszym, legnickim reprezentantem na wrocławskich Ogólnopolskich Spotkaniach Muzykujących Rodzin. Rodzina zgodnie przyznaje, że to sprawia jej największą frajdę.

PLANY na przyszłość? — Rodzina odpowiada bez zastanowienia: — Gramy dalej, ćwiczymy. Musimy przygotować przynajmniej jeden kwartet smyczkowy. Szkoda byłoby z tym skończyć; przeciwnie, mamy coraz większe ambicje. Tylko Witek musi więcej ćwiczyć...



Zdjęcia: Krzysztof Raczkowiak

(Ciąg dalszy ze str. 1)

ROSIKOWI mówią, że brat chce go zabrać do domu. Ten żart jest strasznym eksperymentem. Rosik nie poznaje się na żarcie. Blednie. Jego oczy stają się ogromne, coraz większe. Okragłe. W tych oczach — przerażenie. Wielki przyćmiewający wszystko strach!

Przybył! Gościu w tym domu. Nie ujrzyś w tych oczach tego, co zobaczą w nich tego domu mieszkańcy. Nie pojmiesz. Bo musiałbyś ujrzeć chlew i człowieka w nim. Tam mu rodzina wyznaczyła mieszkanie. I musiałbyś zobaczyć jak brat brata maltretuje. Codziennie. Systematycznie. Mieszkańcy tego domu to wszystko dojrzą i wszystko pojmą. Mówią potem Rosikowi, że to nieprawda z tym bratem. I Rosik jest szczęśliwy. Można być tutaj szczęśliwym. Niedużo do szczęścia potrzeba.

Tymczasem w ambulatorium rodzina odbiera dziadka. Przywiózł go do Mierczyc radiowóz, będzie już tydzień temu — nie nie pamiętającego, nie mówiącego. Ale dziadek znał się na mapie. Znalaziono mu okulary i dyrektor Ujec wodził palcem po mapie aż dziadek kiwnął, że w tych rejonach. Dla milicji był już punkt zaczeplenia. Znalaziono córkę w Ligocie. Przyjechała teraz do Mierczyc z mężem i swoją córką. Mówią, że dziadek po raz pierwszy się zgubił, że ma 82 lata i jest po wylewie. Mało rozumie.

— Ojciec, może chcesz tu zostać? — żartuje córka.

— NIE! — protestuje ten gwałtownie. Więc jednak coś rozumie. A może to instynkt?

Na odchodnym dyrektor Ujec radzi zaszyć dziadkowi karteczkę z nazwiskiem i adresem. W kołnierzu, gdziekolwiek zresztą. W takich wypadkach odzież jest badana bardzo dokładnie przez specjalistów. Nie jest przecież powiedziane, że dziadek się nie zgubi ponownie.

Niedługo wszyscy zasiadają do wigilii. Kiedyś zasiadano wspólnie. Nie było to jednak najlepsze rozwiązanie. Co do tego wszyscy pensjonariusze są zgodni. No bo tak: jedni jedzą szybciej, drudzy wolniej; jednym sily pozwalają, innym nie. Poza tym jedzenie trzeba było kończyć na tyle wcześnie, aby obsługa mogła posprzątać, pozmywać naczynia, żeby następnego dnia były gotowe

do śniadania. Nie wszyscy zdążyli się najęść, a jeżeli nawet, to do pasterki zgłodnieli. Bo chyba nie trzeba tłumaczyć, że na pasterkę czekają tu wszyscy. Więc teraz wieczerną wigilijną podaje się w pokojach. Każdy je jak sobie chce i ile chce. W każdym pokoju jest choinka, są upominki. Dyrektor z całym personelem chodzi i wszystkim składają życzenia.

Szewczukowie będą mieli zastawiony stół w swoim dwuosobowym pokoju, w którym mają nawet telewizor. Maria Szewczuk jest w Mierczycach od dziesięciu lat, ale takie nazwisko nosi od lat pięciu. Pięć lat temu przyjechała tu specjalnie ksiądz, aby im udzielić ślubu — to znaczy jej i Stefanowi Szewczukowi, też pensjonariuszowi pałacyku w Mierczycach. Od tego czasu są nierozłączni, opiekują się sobą nawzajem.

— Ja mu szczęściem i on mi szczęściem — mówi pani Maria.

I jest to rzadki przypadek tutaj, że szczęście nie polega tylko na braku nieszczęścia.

Anna Szymańska będzie w tym domu po raz pierwszy spędzać święta. Dopiero co przyjechała. Od syna. Dla niej będą to pierwsze święta od kilkunastu lat. Pierwsze chwile bez domowego piekła, bez syna i synowej przepijających jej rentę i karmiących ją suchym chlebem, od czasu do czasu z margaryną. Na więcej dla matki nie starczało. Najpierw wódka, później matka...

W tym domu o miłości synowskiej lepiej nie wspominać.

Anna Szymańska ma niemalą rentę — 2060 złotych. Odciągać się jej będzie 1380 złotych — tyle w Mierczycach kosztuje utrzymanie. Ze swoimi pozostałościami blisko siedmiuset złotych, będzie tutaj należała do bogatszych. W tym wieku nie jest się specjalnie wymagającym, wydatków jest niewiele. Pensjonariusze nie posiadają renty otrzymują 100 złotych miesięcznie kieszonkowego. Ci, których renta jest niższa niż koszt



zrobi i — co zarobi. Wnuczek raz przyjechał z Warszawy i wszystko od dziadka dostał. Teraz dziadek zbiera na następną wizytę.

— Wnuczek pewnie dał coś w zamian?

— Co on mógł dać? Przecież

obsługę kuchni oraz czteroosobowy personel techniczny.

Dyrektor Ujec jest jednocześnie kierownikiem przydomowego gospodarstwa rolnego: 11 hektarów, 17 macior i 140 tuczników. Gospodarstwo jest przydomowe, ale na osobnym rozrachunku. Oznacza to, że — o ile dom jest przez państwo dotowany (3,3 miliona złotych rocznie), to gospodarstwo musi samo na siebie zarobić, nie ma prawa mieć deficytu. Dyrektor Ujec handluje więc z kierownikiem Ujem. Ten pierwszy kupuje u drugiego tucznika, albo młode ziemniaki, kapustę. Korzyść z posiadania przydomowego gospodarstwa polega głównie na tym, że dom kupuje taniej, dzięki czemu lata jakoś warty budżet. Stawka dzienna na żywienie wynosi 21 złotych na osobę. To naprawdę niewiele.

Alle starym ludziom z mierczyckiego domu też niewiele trzeba. Trochę zyczliwości, której w życiu nie zaznali. Gdzieś w szerokim świecie żyją ich synowie i córki, dorosłe są już wnuki. A oni są samotni. Starzy i już niepotrzebni.

TERAZ, w te tak bardzo rodzinne święta, kiedy domy nasze rozjarzają się choinkowymi lampkami, kiedy zapalnią się krewnymi i przyjaciółmi — można byłoby sprawić tym starym ludziom być może ostatnią radość w ich życiu. Wystarczy sobie o nich przypomnieć.

— Wystarczy. — Bowiem jest to dla nich już dom ostatni — tak powiedział Władysław Maciejewski z trzeciego piętra...

BYĆ SZCZĘŚLIWYM...

KRZYSZTOF DĘBEK

ty utrzymania — 1380 złotych — otrzymują 10 procent swojej renty. Ale na brak pieniędzy nikt nie narzeka.

Niektórzy dorabiają. Robótkami ręcznymi. Najśliczniej to chyba szydełkuje Franciszek Moszczyński. Chociaż mistrzyń i mistrzów w dzierganiu tutaj nie brak. Pan Franciszek robi serwetki, makatki. Wszystko dla wnuczka. To, co

życie w Warszawie ciężkie. Pewnie mu tam biednie. Mnie łatwiej...

W tutejszych pojęciach Franciszek Moszczyński też jest szczęściarzem: ma kogoś. Na pewno ma, skoro tak wytrwale dla niego pracuje. Na pewno...

Dla innych jednakże kontakty z tamtym pełnym trosk i problemów światem skończyły się, minęły bezpowrotnie. Czas odmierzany jest posiłkami i cotygodniowymi wizytami lekarza. Na pamięć znają swoje historie życia, opowiadane setki razy. O chorobach wzajemnych też wszystko wiedzą. Musi się nowy albo gość pojawić, żeby móc jeszcze raz opowiedzieć o Berezie Kartuskiej, o wojnie, o szumie w głowie, o astmie. A co robić na co dzień? Co robić?

Pozostaje czekać. Na co? Nie ma na co. Więc tak zwyczajnie — na nic.

Mieszkańcy żyją przeszłością. Jeżeli coś jest ważne, to tylko przeszłość. Czas obecny i przyszły — to nie ich kłopot. Ich przyszłość jest być nieobecny w rzeczywistości. Zasłużyli sobie na to prawo.

Zastępować ich w walce z tą twardą rzeczywistością jest obowiązkiem społeczeństwa, reprezentowanym tu przez dyrektora Państwowego Domu Pomocy Społecznej dla Dorosłych, Zygmunta Ujca i jego personel: 9 pielęgniarek, 14 salowych, sześciuosobowy



Fot. Krzysztof Raczko

S

TANCJI należy szukać samodzielnie. Tylko wyjątkowo niezaradni (i naiwni!) próbują zwracać się do szkoły o pomoc w znalezieniu jakiegoś locum „na mieście”. Choć właściwie nie jest to rozumowanie pozbawione sensu. Teoretycznie bowiem każdy właściciel zbędnych metrów kwadratowych w mieszkaniu, jeżeli chce przyjąć do siebie ucznia, powinien uzyskać formalną akceptację z wydziału oświaty i wychowania, lub przynajmniej szkoły. Ta ostatnia więc mogłaby być zorientowana w możliwościach zakwaterowania w mieście swoich uczniów. Mogłaby, ale nie jest. Akceptacja stacji uczniowskich odbywa się bowiem dopiero wtedy, gdy chłopak czy dziewczyna już tam mieszka. A wówczas interwencja władz szkolnych jest już właściwie spóźniona i skuteczna może być tylko w wypadkach, gdy warunki mieszkaniowe urągają wszelkim zasadom.

Szkola nie pomaga więc w znalezieniu mieszkania. Każdy robi to sam, różnymi sposobami. Można na przykład studiować uważnie ogłoszenia o wolnych pokojach. Nie te prasowe oczywiście, ale zwyczajne, wypisane długopisem na kartce papieru i wywieszane na autobusowych przystankach, szkolnych płotach, koło sklepów. Na początku każdego roku szkolnego sporo takich anonsów wisi w całym mie-

ście. Ale na każde z nich zgłasza się zbyt wielu chętnych i nieliczni tylko, po uciążliwej bieganiu po najodleglejszych ulicach, zdobywają samodzielny pokój lub łóżko, jako kolejny „współspacz” na stacji.

Jest też metoda inna, zdecydowanie skuteczniejsza. Poświęca się jedno popołudnie i na osiedlu domków jednorodzinnych wędruje od drzwi do drzwi. Jeżeli rozpocznie się taki spacer odpowiednio wcześnie, na przykład jeszcze w sierpniu, to stosunkowo szybko można znaleźć zupełnie przyzwoite mieszkanie.

Niewielu jest szczęśliwców, którzy docierają do miasta mając w kieszeni konkretne, pewne adresy. Ci stanowią swoistą elitę wśród młodzieży mieszkającej na stacjach. Trafiają bowiem do znajomych, krewnych, albo na stancje istniejące od lat, o których informacje przekazywane są kolejnym rocznikom uczniów.

Nie ma taniich stacji. Choć trzeba przyznać, że w ogóle uczniowie płacą mniej niż sublokatorzy dorośli. Ale też warunki, jakie zwykle oferuje się uczniom, dla dorosłych byłoby często nie do przyjęcia. Wyższość sublokatora-nastolatka nad pracującym polega na tym, że można na przykład w jednym pokoju umieścić trzy, cztery, albo i więcej osób, nie zawsze zapewniając wszystkim oddzielne miejsca do spania. Bo czyż dwie dziewczyny nie mogą spać na jednej wersalce? Wspólne łóżko jest najczęściej spotykanym uchybieniem w warunkach mieszkaniowych uczniów „na mieście”. I właściwie nie ma na to sposobu. Szkoła bowiem, nawet jeśli interesuje się losami swoich wychowanków, nie ma możliwości egzekwowania czegokolwiek od właściciela pokoju. Może najwyżej zabrać ucznia. Tylko co z nim zro-

bi, skoro w internacie nie ma miejsca...

Sublokatorzy-ucznioi mieszkają najczęściej we dwójkę. Im samym jest różniej, a i wynajmującym taki układ się opłaca. Płacą przeciętnie po 500 złotych od osoby. Czasem trochę mniej, częściej — drożej. Ceny za stancje są bardzo wyrównane i właściwie niezależne od warunków. Tyle samo więc płacą dziewczyny w starym budynku, bez łazienki, z wc na półpiętrze, piecem w pokoju i tyle samo — w nowym bloku, gdzie mają dostęp do wszystkich wygód, tyleż — za kłitkę na poddaszu.

Ale płaci się nie tylko za dach nad głową, miejsce do nauki, warunki sanitarne. Płaci się też za atmosferę. Dlatego jednym owe 500 złotych wydaje się sumą bardzo wielką, dla innych jest ona zrozumiała, akceptowana. Bo jak się ma piętnaście, szesnaście lat i ładuje nagle kilkadziesiąt kilometrów od rodzinnego domu, w nowej szkole, wśród nowych kolegów i jeszcze na dodatek w obcym mieszkaniu, to człowiek czuje się bardzo nijako. I jest to prawdziwa frajda, i nieczęsto spotykane szczęście móc mówić o swoich gospodarzach ciepło: pani Janka, pan Rysiek. A kiedy jeszcze zaakceptują sublokatorów kilkuletni malcy gospodarzy...

Trafiałam na kilka uczniowskich stacji Zespołu Szkół Przemysłu Spożywczego w Legnicy. Szkoła posiada wprawdzie internat, ale jest on oczywiście za mały, by pomieścić wszystkich zamiejscowych, tym bardziej że zjeżdżają do Legnicy uczniowie z całego kraju zdobywający unikalne zawody. Im więc w pierwszym rzędzie daje się miejsce w internacie. Na stacjach mieszkają przeważnie dziewczęta. Szkoła ma obowiązek opieki nad nimi, kontrolowania warunków mieszkaniowych i tzw. atmosfery

wychowawczej. Kontrolami takimi, zajmują się wychowawcy klas i rodzice z komitetu rodzicielskiego. Mniej więcej cztery razy w roku odwiedzają swoich wychowanków. Są to jednak kontrole tylko formalne; sprowadzają się do sprawdzania, czy na stacji nie dzieje się nic złego, czy młodzież ma elementarne warunki do nauki i wypoczynku, czy nie jest przypadkiem demoralizowana. Jeśli nie ma żadnych rażących uchybień, to znaczy że jest dobrze. Nastolatki są więc zdane właściwie na siebie, metodą prób i błędów uczą się samodzielnego, dorosłego już właściwie życia. Czasami ta nauka bywa bolesna. Zachwycenie się swobodą, brakiem rodzicielskiej kontroli, korzystanie z wszystkich życiowych przyjemności — zdarza się, że w nawałę zajęć przyjemnych zapominają o obowiązkach. Jeśli gospodarz stacji nie interesuje się poczynaniami sublokatorów (powinien, ale jak go do tego zmusić) nietrudno o życiową klęskę już na starcie.

Na ogół jednak ludzie, którzy decydują się na przyjęcie uczniów do własnego mieszkania, starają się stworzyć im warunki zbliżone do rodzinnych. A może trafiam tak szczęśliwie, że nie spotkałam sytuacji trudnych, skomplikowanych? Na stacji w centrum miasta, gdzie u samotnej, starszej kobiety mieszka pięć dziewcząt z różnych szkół, obowiązuje powrót do domu najpóźniej o dwudziestej, zakaz podejmowania w pokoju zbyt wielu gości, niedozwolone są wizyty chłopaków. W innych domach podobnie. Ograniczenia swobody uczniów dotyczą w zasadzie głównie tych dwóch spraw: powrotów do domu i przyjmowania wizyt. Im starsi gospodarze, tym rygorystyczniej są one egzekwowane. Ale tak było zawsze.

Uczeń na stacji to nie tylko problem szkoły i właściciela mieszkania. To przede wszystkim problem samych rodziców. A tymczasem od kilku gospodarzy największej niepoehlebnych uwag właśnie o rodzicach słyszałam. Ojcowie i matki nie grzeszą nadmiarem zainteresowania swoimi dziećmi. Owszem, na początku roku, kiedy syn, czy córka już się zagospodarują, zjeżdżają, by zobaczyć, jak się dziecku mieszka, polecić je o piecie gospodarzy. I na tym bardzo często się kończy. Bywa, że już Głogów okazuje się zbyt oddalony od Legnicy, by szkoła mogła liczyć na spotkanie z rodzicami. Są gospodarze stacji, którzy potrafią i do szkoły zajrzeć, i o pomoc wychowawczą poprosić, kiedy mają z uczniem kłopoty. Bo mówią. I chociaż traktują to jako swój obowiązek opiekuna, to jednak mają do ojców i matek żal, że ci, nawet informowani przez władze szkolne o kłopotach z ich dziećmi, nie kwapią się do wizyt, zostawiają nastolatka na pastwę losu. Czasem tłumaczą się naiwnie: płacę mu przecie za mieszkanie, niech się uczy. Dobrze, kiedy młody człowiek trafia na właściciela stacji, który interesuje się jego losami.

A

LE, CHOĆ jest coraz lepiej, ciągle jeszcze można spać w wypadki, gdy uczeń trafia po prostu w nieodpowiednie środowisko. Między jedną a drugą szkolną kontrolą mija sporo czasu. Czasem wystarczająco dużo, by młody człowiek zdążył dojść do wniosku, że swobodne, bez troskie życie jest znacznie ciekawsze, niż żmudne opanowywanie zasad przetwórstwa mleka, czy równań kwadratowych...

DOBRZE, CZYLI NIJAKO

ANNA STOKROCKA



Szkola ma internat, ale jest on oczywiście za mały, by pomieścić wszystkich zamiejscowych, tym bardziej, że zjeżdżają do Legnicy uczniowie z całego kraju zdobywający unikalne zawody.

Fot. Archiwum



KRZYŻE POKUTNE — to ślad średnio-wiecznego prawodawstwa. Sąd zobowiązywał zabójcę do ufundowania w miejscu zbrodni kamiennego pomnika w kształcie krzyża. Była to forma pokuty. Na zabójcę nakładano jeszcze wiele innych obowiązków wobec zmarłego i jego najbliższych. Po ich wypełnieniu zwaśnione rodziny jednały się w miejscu, gdzie stał krzyż. Prawo to obowiązywało na Śląsku od 1301 r. aż do początków wieku szesnastego.

W ostatnią niedzielę listopada Krzyże Pokutne w rejonie Lubina, Miłoradzie i Tymowej zostały oznakowane. Inicjatorem akcji było Towarzystwo Miłośników Ziemi Lubuskiej. W czynie społecznym pracownicy DPBP w Lubinie wykonali betonowe słupki pod oznakowanie. PTTK z Wrocławia dostarczyło tabliczki z napisami, młodzież ZSB w Księginicach wmontowała słupki, dużej pomocy udzielił także Zakład Transportu KGHM.

Akcja „Krzyże Pokutne” stała się impulsem do przypomnienia sprawy innych zabytków — nie mniej cennych, a bardzo zaniedbanych. W okolicach Lubina jest ich wiele. Mamy więc szczególne szanse, by okółolubiński plener był malowniczy i ciekawy. Tymczasem rzeczywistość jest inna — niestety — smutna. Zabytki rozpadają się uszczuplone zabiegami prywatnych zbieraczy staroci i amatorów materiału budowlanego. Często obraz nie odbiega od osiemnastowiecznych szczątków pałacu w Wielowsi, gdzie pozostała jedynie frontowa ściana z ba-

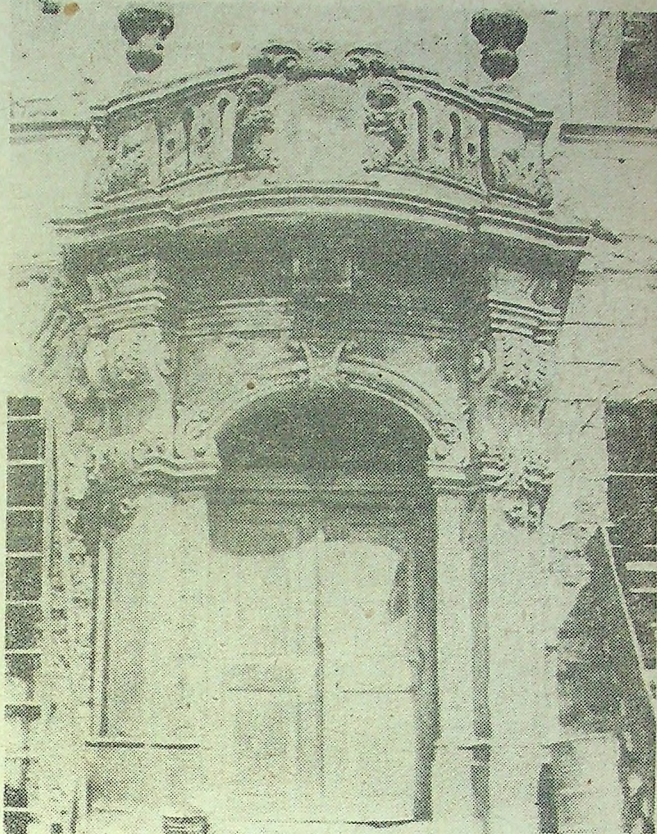
rokowymi zdobieniami i portalem. Ściana trzyma się niemal cudem i w każdej chwili grozi runięciem na podwórze gospodarcze... A konkretnej decyzji nie ma...

Problem zabytków to dyskusje i spory; to stawianie prawie retorycznych pytań. Zjawisko niszczenia dóbr naszej kultury to nie tylko sprawa estetyki, to także problem społeczno-wychowawczy. A przecież należałoby, w przypadku każdego obiektu, wybrać jedno z trzech rozwiązań: 1 — odbudowa, 2 — zabezpieczenie obiektów, które przedstawiają bezspornie dużą wartość architektoniczną (np. zabezpieczenie w formie trwałej ruiny — co stanowi rozwiązanie z uniknięciem nakładów inwestycyjnych), 3 — rozbiórka obiektów, które są kompletną ruiną, przy równoczesnym zabezpieczeniu fragmentów najcenniejszych. (Oby tylko nie powtórzyła się historia figur parkowych z Chocianowa, które źle składowane uległy zniszczeniu).

Jest poza tym jeszcze jeden sposób — lapidarium — bez większych kosztów można zorganizować miejsce, w którym cenne rzeźby, fragmenty budowli, pomniki historyczne, oryginalne rekwizyty, byłyby bezpieczne. Tylko gdzie szukać mecenasa? Kto to wszystko zdejmie, przewiezie i zakonserwuje?

Dłużyce — barokowy kartusz rzeźbiony w piaskowcu gdzieś zniknął. Inna sprawa, że nikt nawet nie usiłował go odnaleźć. Do niedawna stała przed kościołem w Wielowsi kuta w kamieniu gotycka chrzcielnica. W chwili obecnej nie można jej odszukać. W tej samej feralnej miejscowości odmalowano kościół. Przy okazji zamalowano żółtą farbą renesansowe nagrobkowe płyty, które jako dokument są obrazem stroju rycerzy i kobiet z okresu Odrodzenia. Wątpić należy, czy w obecnym stanie uda się przywrócić rzeźbom kutym w piaskowcu ich barwę naturalną...

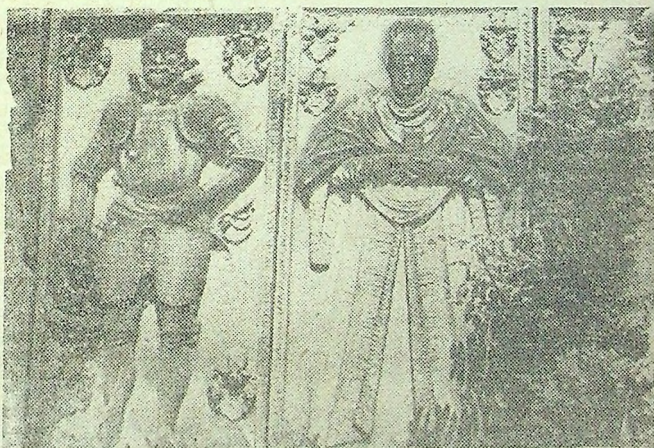
ARCHITEKTONICZNE dziedzictwo kultury kruszeje. Mnożą się alarmy o zabezpieczeniu zabytków, a jednak wciąż nic się nie dzieje. Od czasu do czasu ktoś napisze artykuł, ktoś się oburzy, poruszy kłódką zamkniętych drzwi... I dalej sprawa jest martwa... i mecenasów wciąż nie ma.



Frontowa ściana pałacu w Wielowsi.

A MECENASÓW NIE MA

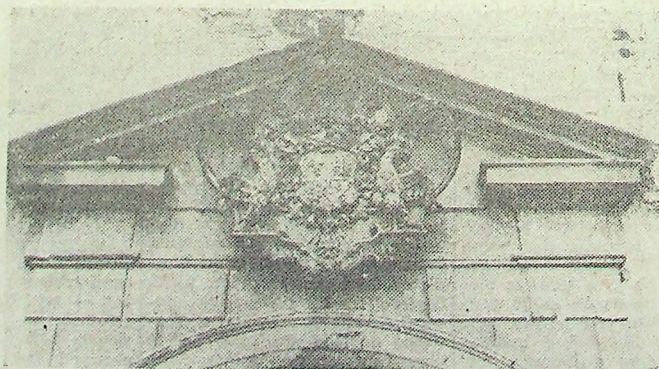
JADWIGA BURDZY



Zamalowane płyty nagrobkowe w Wielowsi.



Miłoradzie — Krzyż Pokutny. Wszystkie zdjęcia z archiwum Towarzystwa Miłośników Ziemi Lubuskiej.



Tak wyglądało wejście do pałacu w Dłużycach trzy lata temu. Dzisiaj po tablicy herbowej nie został żaden ślad.



Józef Bilski i Kazimierz Sendrewicz wiercą otwory strzałowe. Później się strzeli i kopalnia będzie o parę metrów większa.



Wydobywana przez PBKR Częstochowa ruda wędruje właśnie na transporter i dalej do skipu. Na kracie, dokąd dostarczany jest urobek z przodków, zastajemy operatora joja Stanisława Salbierza i Zbigniewa Sokółowskiego, który rozbije co większe bryły, aby przeszły przez oka kraty.

N

IKOGO obcego tu nie ma i nigdy nie było — informuje nadsztygar Łągiewka przekrzykując huk silnika samodzielnego wozu transportowego, którym telepiąc się na dziurach i garbach pokonujemy pochyłość centralnej upadowej. Cały czas w dół. Józef Łągiewka pociesza, że powrotna droga — pod górkę — będzie znośniej-sza. Zobaczymy, a na razie liczymy przecinki: nieoświetlone czarne jamy odbijających w bok chodników. Dziesięć przecinek za nami, dwadzieścia przed nami. Dojść tymi chodnikami można do upadowych centralnych numer dwa i trzy. Biegną równoległe do tej, którą właśnie pokonujemy, z tym, że nasza już do celu dobiegła, a tam-tym dwóm jeszcze nieco brakuje.

— Na razie to nasze gospodarstwo — kontynuuje nadsztygar — górnicy przyjdą później, kiedy udostępniemy złożo do wydobywania. Jeszcze jesteśmy tu sami.

Właściwie to zawsze są sami. Pracują gdzieś na krańcach kopalni, albo raczej na jej początku. Od kwietnia 1965 roku, kiedy PBKR Częstochowa pojawiło się na tym terenie, wybudowali już sporą część podziemnych labiryntów. Nie było jeszcze ZG „Lubin”, a był już między innymi nadsztygar Łągiewka, wówczas sztygar, i wgrzyzali się w rudonośne pokłady pierwszą upadową. Nawet szyb L-1 nie był jeszcze

gotowy. W ten sposób co starsi pracownicy częstochowskiej firmy mają rzadką przyjemność i satysfakcję, że — obojętnie w którym miejscu kopalni — mogą sobie powiedzieć, iż swojej ręki przyłożyli, aby to miejsce powstało.

Przejechaliśmy wozem ponad cztery i pół kilometra. „Na piechotę do Sylwestra byśmy szli” — śmieje się któryś z jadących razem z nami strzałowych. Może to spora przesada, ale nikomu nie życzę takiej wycieczki od Lubina Głównego do Zachodniego — na szyb L-6. Na powierzchni można to uważać za miły spacer, a i tak jeździ się autobusami. Na dole zaś podróżuje się okropnie trzęsącym, huczącym i produkującym niesamowitą ilość spalin STW.

— Bywało koszmarnie — mówi nadsztygar — nieraz trzy kilogramy chłopu ubywało na jednej zmianie. Robili kiedyś takie doświadczenia i ważyli naszych ludzi...

Bo też ci budujący kopalnię pracują w szczególnych warunkach: ich przodków nie można jeszcze tak skutecznie przewentylować, są to bowiem zupełnie ślepe oddziały, przed nimi kilometry litej skały, przez którą dopiero trzeba się przebić, dotrzeć do następnego szybu. Wówczas dopiero powietrze będzie porządnie krążyć. A na razie trzeba tyrać w oparach spalin wydalanych przez ładowarki, spycharki, wozy odstawcze. Ale nikt już sobie nie wyobraża ko-

palni bez tych nowoczesnych i wydajnych maszyn.

W jednym z przodków zastajemy brygadę Stanisława Czarę: Józefa Bilskiego, Kazimierza Sendrewicza i Edwarda Skorupę. Szef brygady Stanisław Ganczar obrywa co do kawałki stropu — jest to dna z bardziej odpowiedzialną pracą na przodku, którą wykonywać tylko górnicy dowy, ewentualnie górnicy dy już nie z góry nie Edward Skorupa zaczyna wieniec stropu: wywierci kilometry otwór, wepchnie niego kichę pełną specjalnego kleju, a później samą kichę. Po trzech minutach klej zwiąże się z śrubą i można przejść do następnego otworu. W tym samym czasie Józef Bilski i Kazimierz Sendrewicz wiercą otwory strzałowe.

Brygady przodkowe PBKR samowystarczalne: przygotowują przodek do strzału, wywożą urobek, doprowadzają do przodka wentylację, instalację hydrauliczną... Spółdzielnia wielobranżowa — jak nazywa swoje przedsiębiorstwo Łągiewka.

Drażąc główne korytarze chodniki stają się ludzimi ciętami historycznych — rzeczona — wydarzeń. Mowa o zbiciach — połączeniach ziemią dwóch drażonych z przeciwnych stron chodników. Zef Wojciechowski pamięta pierwsze zbicie w LGOM — połączenie szybu wschodniego „Bolesław” z szybami głównymi.



Józef Wojciechowski pamięta pierwsze zbiecie w LGOM — połączenie szybu „Bolesław” z szybami głównymi „Lubina”. „Uściliśmy sobie dłonie” — mówi do nadsztygara Józefa Łągiewki.



Wywiercić trzeba dziurę, później włożyć do niej kiskę z klejem. Te czynności powtarzać będą wielokrotnie Józef Wojciechowski i Stefan Łagoda.

CORAZ DALEJ UPADOWĄ

nych
zasta-
Gan-
Kazi-
warda
Stani-
slab-
to je-
alnych
może
przo-
Kie-
grozi.
e kot-
kiku-
nie do
alnego
kotwę.
zwiąże.
można
tworu.
Józef
łowicz

KR są
otworu-
cotwia.
adżają
stala-
zielnia
nazwał
Józef

niłane
twór-
mo-
o tzw.
pod
prze-
Jó-
pie-
po-
niego
nymi

„Lubina”. Wojciechowski szedł wówczas od strony „Bolesława” i w 1967 roku uściliśmy sobie ręce z kolegami przebijającymi się od szybu głównego. Teraz brygada przodowego Józefa Wojciechowskiego drąży chodnik łączący upadową pierwszą i drugą. Przy nim — Stefan Łagoda, Wiesław Grzelak, Kazimierz Więkowski.

Ta brygada, wraz z pozostałymi, ma za sobą ponad cztery i pół kilometra podziemnej drogi prowadzącej z L-1 do L-6. Zaczęli tę drogę 15 marca 1973 roku, zakończyli 12 listopada 1977. I teraz czekają, aż brygada PBKR Lubin dokończy drażnienia szybu. Już tylko dni dzielą nas od chwili, kiedy zjedzie się na dół na Lubinie Zachodnim, a wyjdzie na przykład na głównym. Przebyto już anhydryty, dolomity — po średnio trzy metry na dobę — a teraz wierci się końcówkę szybu, żapie, w czerwonym spagowcu Brygady Stefana Holmana, Jana Jankowskiego, Ireneusza Sosniarza, Stefana Kukuły pod kierownictwem Bolesława Prusa starają się, aby to świateczne uściśnięcie rąk nastąpiło jak najszybciej. W PBKR Lubin proszą, aby wspomnieć o dotychczasowym szefie budujących szyb, o pracującym w tej firmie od 1961 roku, a obecnie na emeryturze — Antonim Adamskim.

Zaś wracając do przedsiębiorstwa częstochowskiego (tak po prawdzie to ono częstochowskie jest tylko z nazwy i z dy-

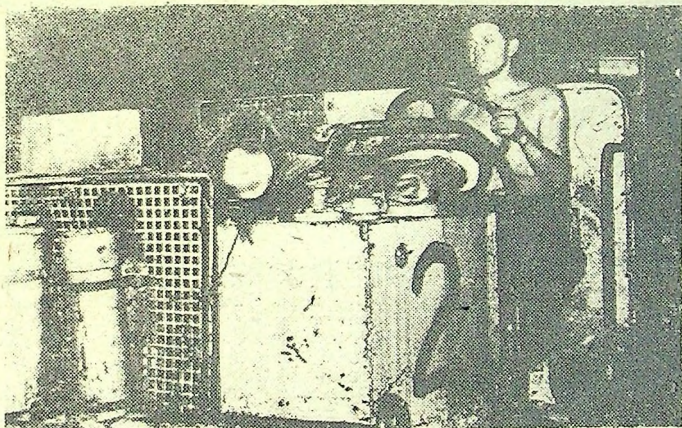
rekcji, bowiem pracownicy w ogromnej większości pochodzą z tych terenów), to średnio miesięcznie przybywało im około 83 metrów upadowej. Ale na przykład w październiku przesunęli przodek o 122,5 metra. Taki niepokonany dotąd rekord. Zawzięły się brygady Wojciechowskiego, Tadeusza Daty, Wawrzyńca Widulińskiego; pokazali na co ich stać operatorzy sprzętu, mechanicy, sztygarzy zmianowi Tadeusz Wrona, Jan Koc i kierownik oddziału Marek Matyas.



CZYWISCIE budowa kopalni to nie tylko główne upadowe, ale także przecinki, boczne chodniki. PBKR

Częstochowa w rejonie upadowych centralnych wydrążyło w sumie ponad 19 kilometrów wyrobisk. Wiąże się to oczywiście z wydobyciem. Od 1973 roku firma dała ponad pół miliona ton rudy, średnio w miesiącu wydobywa ponad siedem i pół tysiąca ton. Zresztą można powiedzieć, że ruda wydobywana przez przedsiębiorstwa inwestycyjne, najlepiej charakteryzuje kopalnię — im jej więcej, tym większy to oznacza rozwój zakładów górniczych. Gdyby tej rudy w ogóle nie było — oznaczałoby, że kopalnia umiera...

Bo tak to jest — kopalnia — każda! — żyje, dzięki permanentnej rozbudowie. Ciągłe dalej i dalej, do nowych pokładów. Poprowadzi do nich następna upadowa...

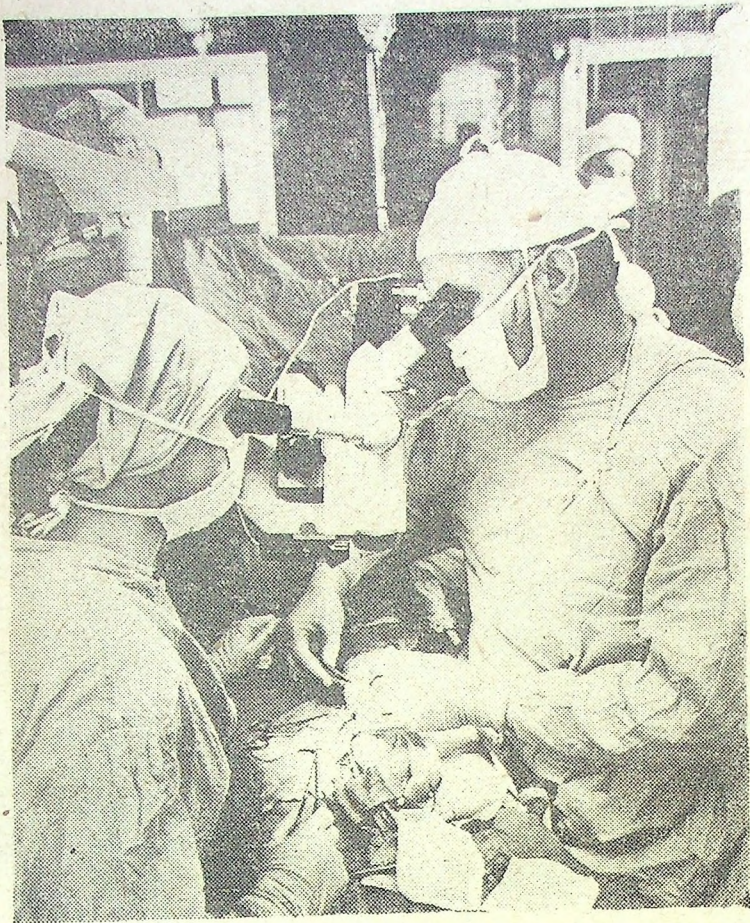


Każdej doby PBKR Częstochowa daje ok. 7 tysięcy ton rudy. Na kratę 35-tonowym jodem dowozi ją między innymi Stanisław Salbierz.



Nie najwygodniej podróżuje się w kibelku, ale podobnie jak na L-6 zaczyna jeździć w każdym szybie.

Zdjęcia: KRZYSZTOF RACZKOWIAK
Tekst: DOMINIK KRZYCKI



Fot. CAF — Staszyszyn

co jest, pozwala nam na posuwanie się naprzód. Ale niech to będzie niezadowolenie tkwiące kożkami w naszej rzeczywistości, naszych warunkach, naszych możliwościach. Wymagania rosną i, jak w każdej chyba dziedzinie, zawsze wyprzedzać będą istniejący stan rzeczy. Przydałoby się na co dzień trochę rozważań w formułowaniu opinii, szczególnie tych wyłącznie generalizujących.

Mamy rządowy plan rozwoju ochrony zdrowia i opieki społecznej w kraju do roku 1990. W jego realizacji szczególnie ważne jest obecne pięcioletnie, w którym powstanie wiele nowych problemów, związanych ze zmianami demograficznymi w polskim społeczeństwie wynikającymi z przesunięciem w strukturze wieku, rozmieszczeniu ludności w miastach i na wsi, rozwoju wiejskiej służby zdrowia i reorganizacji opieki zdrowotnej nad dziećmi i młodzieżą szkolną, wreszcie ze zmianami w rozmieszczeniu i występowaniu różnych chorób i schorzeń.

Bogate plany inwestycyjne przewidują głównie rozwijanie bazy szpitalnej. Buduje się teraz w całym kraju 138 obiektów. Jest na tej liście także legnicki szpital wojewódzki. Sto z nich będziemy mieć w tym jeszcze pięcioletniu. Dojdzie do tego 160 wiejskich ośrodków zdrowia, nowoczesnych, odpowiadających potrzebom, a także nowe miejsca w domach opieki społecznej i placówki medycyny przemysłowej. A przecież, poza planami centralnymi, wiele robi się jeszcze w poszczególnych województwach szukając, jak w

ne plany przewidują, że przybędzie nam do końca pięcioletki ponad 10 tys. lekarzy, ponad 3 tys. stomatologów, blisko 60 tys. pielęgniarek. Na naszym legnickim podwórku wiąże się to z przyrostem liczby średniego personelu na poziomie 150 osób rocznie (do 1985 roku) i pozyskiwaniem co roku kilkudziesięciu lekarzy różnych specjalności. Nie zaspokaja to naszych potrzeb. Wskaźnik zatrudnienia lekarzy na 10 tys. mieszkańców jest u nas niższy o 5 od krajowego. Dlatego też władze polityczne i administracyjne województwa podejmują szczególnie intensywne działania, by braki te nadrobić. Stan kadr lekarskich i średniego personelu medycznego był przedmiotem oceny na jednym z niedawnych posiedzeń Egzekutywy KW PZPR. Do 1982 roku przybędzie Legnickiemu 220 lekarzy, których pozyska się na podstawie ministerialnych planów rozdziału absolwentów akademii medycznych. Razem z werbunkiem na drodze umów stypendialnych i przy pomocy prasowych ogłoszeń da nam to widoczną poprawę sytuacji.

Mamy w województwie również coraz więcej specjalistów „własnego chowu”; młodych ludzi, ściągniętych tu do pracy, którym stworzyło się warunki do zdobywania na miejscu specjalizacji. Jest ich już kilkudziesięciu, kilkunastu dalszych przygotowuje się do egzaminów.

Dużo to więc, czy mało? Na pewno mniej, niż chcielibyśmy, na pewno w niejednym miejscu mniej, niż by należało. Ale, mimo tych zastrzeżeń, nie jest to mało. Naszego systemu opieki zdrowotnej nad całą ludnością może nam pozazdrościć niejedno państwo. Jest to jedna z tych dziedzin życia społecznego, w której systematyczny postęp traktujemy jako coś oczywistego, koniecznego, należącego nam się z natury.

POKOCHAĆ SŁUŻBĘ ZDROWIA

MARIA ROCKA

O SŁUŻBIE zdrowia można mówić nieskończenie. Można ubolewać nad trudnymi warunkami łonkalowymi, w jakich ciągle jeszcze wypada pracować wielu lekarzom i średniemu personelowi. Można przy tym podziwiać ludzi, którzy w takich warunkach potrafią pracować bardzo dobrze, oddawać całą swoją wiedzę i umiejętności na pożytek cierpiącym i dodawać do tego to wszystko, co zwykliśmy określać mianem zaangażowania, a co w służbie zdrowia jest szczególnie cenne.

Można także, i to robimy częściej, i chętniej chyba, krytykować, mieć pretensje, demonstracyjnie okazywać brak zaufania lekarzowi w przychodni. Pacjent może właściwie wszystko. Wybacz się mu zdenerwowanie, brak taktu, z przymrużeniem oka traktuje jego, dyktanta, recepty na uzdrowienie sytuacji w lecznictwie, czy też sugestie w sprawie leczenia najbardziej nawet skomplikowanych schorzeń.

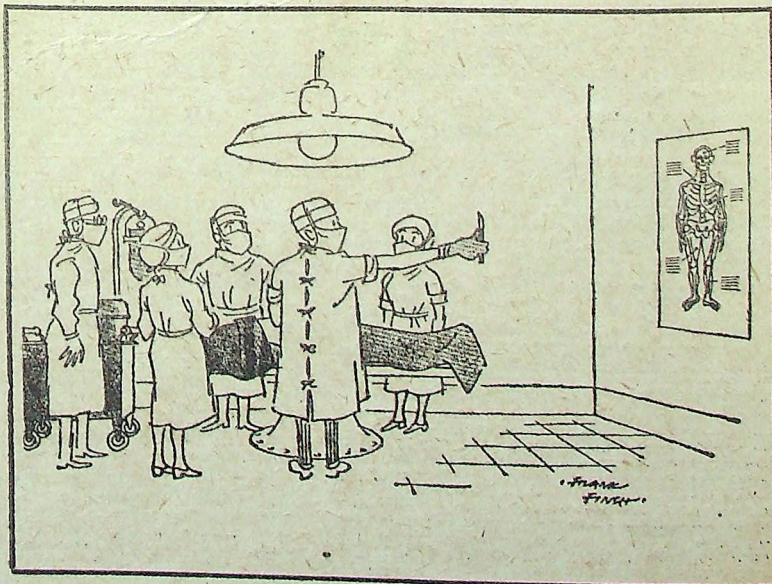
A przecież pacjent bardzo często nie ma racji, mimo że swoje uwagi i koncepcje, choćby były najbardziej fantastyczne, formułuje przeważnie w najlepszej wierze, z chęcią ulepszenia naszego niedoskonałego świata. Ale pacjent także, szczególnie ten, któremu przyjdzie snuć swoje rozważania o naprawie służby zdrowia w przychodniach poczekalniach, niemałych kolejkach, nie zawsze rozumie, zna, czy pamięta o wszystkich okolicznościach i warunkach towarzyszących ludziom w bieli w ich codziennej pracy. Nielatwa nieraz rzeczywistość skłoni nas, jakże często, konfrontować z planami i koncepcjami perspektywicznymi, a nawet z własnymi wyobrażeniami o modelu idealnym. Inna sprawa, że ów idealny model, który widzimy oczyma duszy, rzadko ma oparcie w naszej rzeczywistości. W koncepcjach takich łatwiej można doszukać się wpływu optymistycznie cukierkowych filmów zachodnich, na których z zazdrością oglądamy lekarzy (koniecznie przystojnych) i pielęgniarki (koniecznie młode i ładne) zajmujących się głównie czekaniem na pacjentów. A gdy ci wreszcie się pojawiają, stają się od razu centrum zainteresowania, przysłowiowym pepkiem świata. I, wyrzekając, że u nas nie jest tak dobrze, zapominają się, albo i odsuwa od siebie niemłą myśl o tym, że na tym pięknym Zachodzie lekarzowi nie opłaca się nie mieć pacjentów. Tak jak pacjentom nie opłaca się chorować i jak stan i jakość owej lekarskiej opieki jest precyzyjnie uzależniony od stanu kiesy chorego...

To dobrze, że bywamy niezadowoleni. Bo niezadowolenie z tego,

legnickim, doraźnych choćby rozwiązań, które mogłyby poprawić dostęp ludności do opieki lekarskiej. Jest na przykład takim, bardzo rozsądnym projektem, przygotowanie kilku namysłowskich baraków biurowych dla potrzeb administracji służby zdrowia, by zajmowane przez nią dotychczas pomieszczenia zaadaptować na gabinety lub oddać do dyspozycji szpitali.

Są ciągle kłopoty z kadrami medycznymi. Przybywa ich wolniej, niż byśmy sobie tego życzyli. Powołuje się więc nowe wydziały lekarskie w akademiach medycznych, rozbudowuje średnie i politeczne szkolnictwo. I znowu: real-

Z APOMINAMY, że jest to bardzo jeszcze młody system, niecierpliwie stawiamy coraz wyższe wymagania i zżymamy się, gdy rzeczywistość nie nadąża za wyobrażeniami. Przydałoby się trochę filozoficznego spokoju w tych sprawach. I chyba można by od czasu do czasu pogadać cieplej o naszej służbie medycznej. Nie uchodzi jakoś mówić, ciągle źle, czy choćby tylko krytycznie o ludziach, którzy są nam niezbędni na co dzień, bez których nie umiemy wyobrazić sobie życia.





(3)

BYŁ pierwszym dowódcą frontowym, któremu przypadło w udziale prowadzenie działań poza granicami ZSRR. Nie było to dlań zadanie łatwe, bo wkraczając na teren państwa, którego sanacyjny rząd był wrogo nastawiony do swego wschodniego sąsiada, wchodził jednocześnie w sferę skomplikowanych zagadnień politycznych. Wszelako już pierwsze zetknięcie się z ludnością wyzwolonych skrawków ziemi polskiej wywarło na marszałku niezatarte wrażenie. Był wzruszony serdecznym powitaniem — kwiatami, uściskami i wiatami.

Gdy wojska radzieckie kierowały się na Puławę i Dęblin, na placu Zamkowym w Lublinie zbierał się wielki wiec ludności. Nastrój był radosny, świąteczny, ale na twarzy Rokossowskiego malował się smutek. Sprawiał to widok licznych ofiar Majdanka i innych katowni hitlerowskich. Wstrząśnięty tym obrazem, podszedł do mikrofonu i przemówił po polsku. Nawijając do martyrologii narodu polskiego, oznajmił, że nadszedł czas wyzwolenia. A po latach wspominał: „Muszę stwierdzić, że od pierwszego dnia wejścia naszych wojsk na ziemię polską, zetknęliśmy się z życzliwym i przyjacielskim stosunkiem miejscowej ludności. Przeżywszy okropności niemieckiej okupacji, naród polski po bratersku odnosił się do swych wyzwolicieli — żołnierzy Armii Radzieckiej (...). Zarówno rząd polski, jak i polski naród okazywały Armii Radzieckiej wielką pomoc w budowie i remoncie dróg, mostów i lotnisk, a także w realizacji innych ważnych przedsięwzięcia na teatrze działań wojennych”.

Nie sposób tu pominąć stosunku Rokossowskiego do powstania, które 1 sierpnia wybuchło w mieście jego dzieciństwa i wczesnej młodości — Warszawie. Sądzi, że najlepiej będzie, jeżeli przytoczymy fragment wypowiedzi Rokossowskiego na ten temat z wywiadu, jakiego udzielił on w sierpniu 1944 roku znanemu angielskiemu komentatorowi i historykowi wojskowemu, korespondentowi „Sunday Times”, Aleksandrowi Werthowi: „Jeśli Niemcy nie rzucili całej swej maszyny wojennej na kierunku Wisły — przyp. WK), moglibyśmy wziąć Warszawę, jednakże nie frontalnym atakiem, nie było na to więcej szans jak

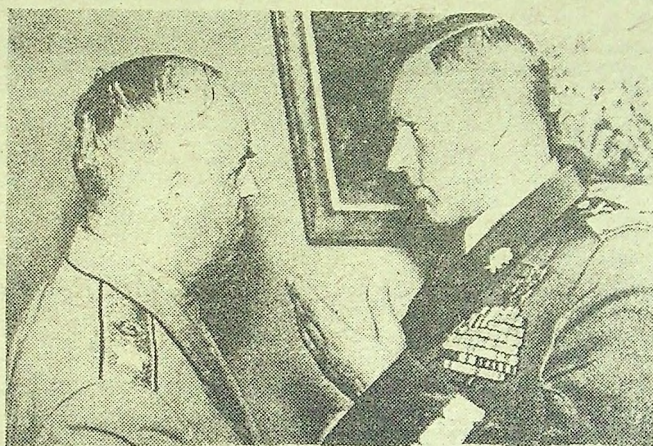
50 proc. Nie można było wykluczyć niemieckiego kontruderzenia na Pradze, chociaż obecnie wiemy, że przed przybyciem dywizji pancernych Niemcy w Warszawie byli ogarnięci paniką (...). Przypuszczam, że niektórzy korespondenci radzieccy byli zbyt wielkimi optymistami w dniu 1 sierpnia (jeden z nich sugerował, że Rokossowski mógł wziąć Warszawę w ciągu paru dni — przyp. WK). Zostaliśmy odrzuceni do tyłu. Takie rzeczy się zdarzają na wojnie (...). Podobne wydarzenia zaszły w marcu 1943 roku pod Charkowem i ubiegłej zimy pod Zytomierzem (...). Proszę uwzględnić, że mamy za sobą ponad dwa miesiące nieprzerwanych walk. Armia Radziecka też może czasem być zmęczona. Nasze straty były bardzo wielkie”.

Jak wspominał liczni dowódcy radzieccy i Polacy, którzy pod rozkazami Rokossowskiego walczyli, marszałek bardzo mocno

próbował sforsować Wisłę, ale żadna z prób nie powiodła się i w tej sytuacji Rokossowski nakazał zaprzestanie bezowocnych wysiłków.

Gdy w lipcu 1945 roku zaczęto demobilizować Armię Radziecką, wojska stacjonujące na terytoriach Niemiec, Austrii, Węgier, Rumunii i Polski zorganizowano w tzw. grupy. Na czele Południowej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej w Polsce, utworzonej z dotychczasowego 2 Frontu Białoruskiego, stanął marszałek Rokossowski. Duży był wkład żołnierzy tej grupy w przywrócenie normalnego życia na ziemiach, które wróciły do Macierzy. W latach 1945-46 zagospodarowali oni około 750 tys. ha ziemi przekazując ją stopniowo polskiemu osadnikom, saperzy PGWAR udzielali polskim wojskom inżynierskim znacznej pomocy w odbudowie i rozbudowie sieci drogowej, kolejowej i mostów.

W MUNDURZE ŻOŁNIERZA WP



Marszałek ZSRR Georgij Żukow w rozmowie z marszałkiem Polski Konstantym Rokossowskim. Repr. Krzysztof Raczkowiak

przeżywał tragedię warszawskiego ludu. „Świadomość tego, że nie można przedsięwziąć dużej operacji w celu udzielenia pomocy powstańcom — wspomni później — była dla nas ciężarem. W tym okresie rozmawiał z mną przez telefon WCz Stalin. Złożyłem mu meldunek o sytuacji na froncie i o wszystkim, co wiązało się z Warszawą. Stalin zapytał, czy wojska frontu są w stanie przeprowadzić natychmiast operację w celu wyzwolenia Warszawy. Kiedy dałem mu odpowiedź negatywną, poprosił mnie o udzielenie powstańcom wszelkiej możliwej pomocy, aby ulżyć ich doli”. I ulżył rozkazując natychmiastowe zwiększenie zrzutów broni i żywności oraz wsparcie powstańców ogniem artylerii i lotnictwa. Wojska radzieckie i jednostki Armii Polskiej

W październiku 1949 roku marszałek Konstanty Rokossowski, po krótkim odpoczynku w Ładku Źdroju pojechał do Moskwy z zamiarem spędzenia tam reszty urlopu. Niedługo jednak przebywał w stolicy Kraju Rad. Wezwany po paru dniach na Kreml, dowiedział się od premiera Stalina, że rząd polski zwrócił się do rządu radzieckiego z prośbą o skierowanie go do służby w Wojsku Polskim na stanowisku ministra obrony narodowej. „Jestem żołnierzem i komunistą, jestem gotów pojechać” — tyle tylko wiemy o rozmowie marszałka Rokossowskiego ze Stalinem. Już 6 listopada 1949 roku, na wspólnym posiedzeniu Rady Państwa i Rady Ministrów PRL, odbył się ręką prezydenta Bieruta akt nominacji na stano-

wisko ministra obrony PRL. Sejm zatwierdził decyzję rządu, a poseł Czerwinski, przemawiając z ramienia Klubu Poselskiego PZPR, mówił m. in.: „Witamy marszałka Polski, Konstantego Rokossowskiego, jako naszego brata, naszego wielkiego rodaka, który walcząc na czele wojsk kraju zwycięskiego socjalizmu, podjął tradycję boowników o wolność Waszą i naszą”. W celu umożliwienia nowemu ministrowi ON brania udziału w pracach najwyższego kierownictwa partyjnego, marszałek Rokossowski został 10 maja 1950 roku na plenum KC PZPR wybrany członkiem Biura Politycznego.

Ministrowi Konstantemu Rokossowskiemu zawdzięczamy całkowitą odbudowę i unowocześnienie polskich sił zbrojnych. Już po dwóch latach wyłożonych prac rozwojowych i modernizacyjnych Wojsko Polskie stało się armią w znacznym stopniu zmotoryzowaną i upancernioną, dysponującą dużą siłą ogniową. Gruntownie unowocześniona została struktura organizacyjno-bojowa wojska. Marszałek wystrzegł się zrutynizowania, był wrogiem biurokratycznych form pracy, imponował rzadko spotykanym spokojem i opanowaniem, rozważą i obiektywizmem w ocenie spraw i ludzi.

Siedem lat z ogromnym poświęceniem służył Konstanty Rokossowski swojej pierwszej ojczyźnie. W wyniku wydarzeń i zmian, jakie nastąpiły w połowie lat pięćdziesiątych, powstała sytuacja, w której marszałek dwóch narodów uznał za konieczne podanie się do dymisji, a czynił to nie bez żalu, bo zdobył sobie powszechny szacunek i sympatię. W piśmie, które rząd PRL wystosował do ustępującego ministrowi ON, czytamy m. in.:

„Drogi Towarzyszu! Proszę przyjąć wyrazy uznania i serdecznej wdzięczności na Wasz ofiarny trud na stanowisku ministra obrony narodowej i naczelnego dowódcy Wojska Polskiego. Od momentu, gdy na prośbę rządu polskiego przyjąłcie do stanowiska, nie szczędząc sił oddaliście całą swą wiedzę i zdolności w celu jak najlepszego wypelnienia tych obowiązków (...). Partia i Naród nigdy o tym nie zapomną, tak jak nie zapomną Waszego wkładu w rozgromienie hitlerizmu i wyzwolenie Polski”.

W LISTOPADZIE 1956 roku marszałek Rokossowski podjął ponownie służbę w szeregach Armii Radzieckiej, pełniąc wiele bardzo odpowiedzialnych stanowisk, m. in. zastępcę ministra obrony ZSRR, dowódcę Zakaukaskiego Okręgu Wojskowego, głównego inspektora Armii Radzieckiej. Był deputowanym do Rady Najwyższej ZSRR i zastępcą członka CK KPZR, działaczem TPRP i innych organizacji. Zmarł 3 sierpnia 1968 roku, przeżywszy 72 lata, z czego 54 w żołnierskim mundurze.

opr. WK
Na podstawie książki „Marszałek dwóch narodów”, wyd. MON 1976

Defilada *)

„27 marca 1954 roku byłem gościem Bolesława Bieruty w Belwercie. Bierut zaprosił tego wieczoru całe grono przedstawicieli literatury. Siedziałem w kącie samotny na kanapie, kiedy nagle zobaczyłem, że zmierzają w moją stronę, z butelką w ręku, marszałek Konstanty Rokossowski. Rokossowski usiadł obok mnie, nalał do mego i do swego kieliszka. „No — powiedział — na zdrowie! Nie znał mnie, na pewno nie wiedział nawet, kogo ma przed sobą. Odpowiedziałem: Za zdrowie kawalerii! Zasmiał się zadowolony: „Wy także kawalerzysta?” — zapytał. Odpowiedziałem nie tylko potwierdzeniem. Zaczęłam mówić gorąco o wszystkich niesprawiedliwych drwinach, jakimi obrzucana była kawaleria, i o

tym, że przecież z wychowania kawalerskiego zrodził się nowy, komandoski styl walki. Rokossowski słuchał przytakując mi ruchem głowy. „Macie rację — powiedział, gdy skończyłem. — Wiedzę... opowiem wam coś...”

Było to jedno z najciekawszych opowiadań, jakie zdarzyło mi się w życiu słyszeć. Rokossowski miał wielki dar opowiadania. Mówił dobrze po polsku z lekkim tylko akcentem „kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon. Gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem zapowiedź, że będzie mówił Siergiej To, właściciel, był kryptonym: „Kresowym” (...). Postaram się powtórzyć opowiadanie Rokossowskiego. — Miałem wtedy dowództwo — mówił — jednej z armii, która broniła Moskwy. W nocy zadzwonił telefon.

— Nie ma powodu, dla którego człowiek bierze pióro do ręki. Po prostu zaczyna się pisać. Mogłbym powiedzieć, że z wewnętrznej potrzeby, ale nie lubię patetycznych słów. Zaczęłam w latach sześćdziesiątych opowiadaniem. W Legnicy wychodziły „Wiadomości”, które miały „Arkusze Literacki”. Skupił on wokół siebie kilku ludzi, którzy pisali. Z czasem grupa się wykruszyła. Pozostało z niej tylko nas dwóch — Srokowski i ja. Zbieraliśmy się raz w tygodniu i dyskutowaliśmy do późnych wieczorów o pisarstwie, literaturze, kulturze. Pamiętam tytuł swego pierwszego utworu: „Zakład”. To coś związanego z marynistyką, ale treści dokładnie nie pamiętam.

Pryskają wszelkie wyobrażenia o pisarskim gabinecie, kiedy przekroczysz próg skromnie urządzonego pokoju Ryszarda Adamowa. Mieszka na zimnym parterze przy ulicy Rzemieślniczej w Legnicy. Gdy tylko słońce wyrzy zza chmur, trudno tu usiedzieć. Gromada dzieciaków bawiących się na ołbrzymim podwórzu czyni harmider nie do wytrzymania. Pan Adamów przyzwyczaił się już do tego i... pisze wyłącznie w nocy, o czym wiedzą sąsiedzi nawet z drugiego piętra. Tak donosiła jest maszyna firmy AEG zrobiona zapewne na początku tego stulecia. Ale, jak dotąd, przynosi szczęście właścicielowi. Z kilku napisanych na niej książek odrzucono tylko jedną.

Gdyby próbować odgadnąć po wystroju gabinetu, kim jest jego właściciel, trzeba by było posadzić pana Ryszarda bardziej o modelarstwo okrętowe raczej niż o pisarstwo. W pokoju bowiem przede wszystkim rzucają się w oczy sporych rozmiarów modele starych okrętów, potem dopiero kilka obrazów na ścianach, potem pełne półki książek, gdzie poczesne miejsce zajmuje literatura marynistyczna. Pojemnik z zabawkową maszyną, biurko pełne książek, radio na podłodze i odwrócony „twarz” do ściany telewizor.

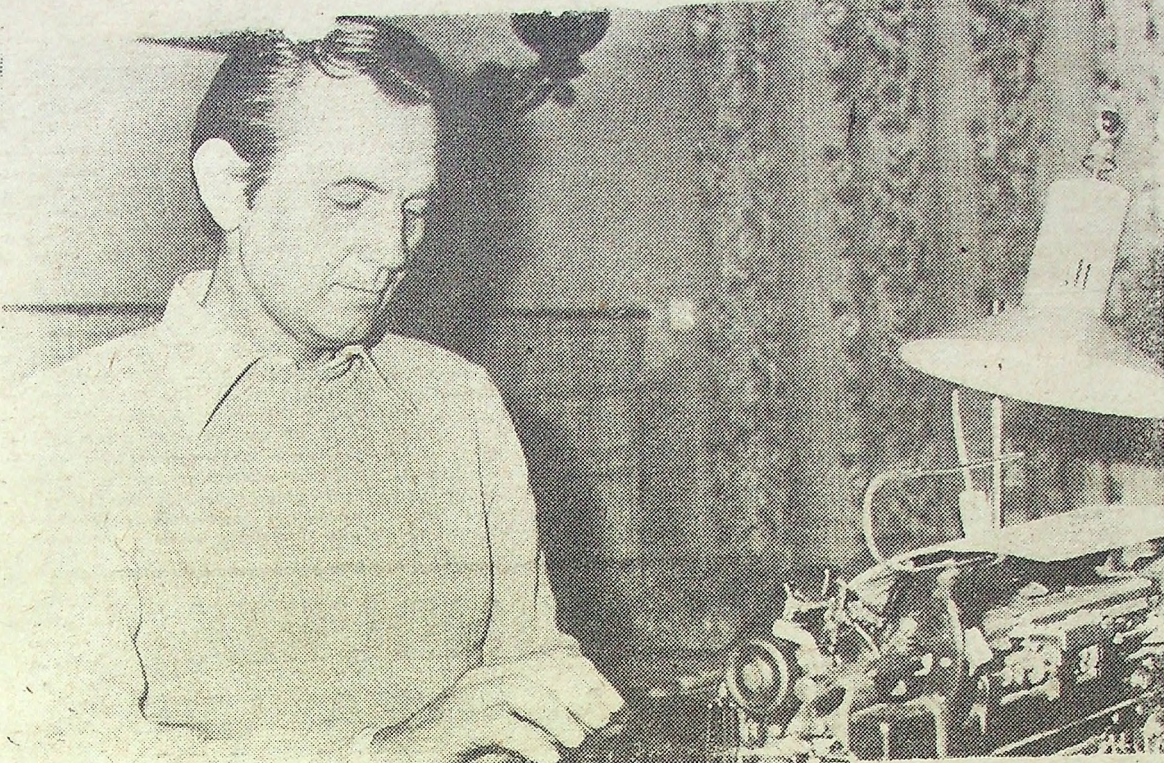
Uprowadzono mnie, że pan Ryszard to wielki samotnik. Rzeczywiście, przynajmniej się, że ze wszystkich miejsc, w których lubi przebywać, najbardziej kocha swój dom. Ale to wcale nie musi być równoznaczne z notorycznym przebywaniem w domu. Zresztą, jak tu mówić o samotności, skoro drzwi prawie się nie zamykają od przyjaciół. Wpadają, porozmawiają i znikają. Bywa, że zagląda tu i kilkanaście osób dziennie. Ale gospodarz cieszy się z każdej złożonej mu w dzień wizyty. To go odpręża między jedną spędzoną nad maszyną nocą a drugą, poświęconą pisarstwu. Bo pisarstwo to sprawa dla Ryszarda Adamowa najświętsza.

NA-POCZĄTKU BYŁO MORZE

— Byłem marynarzem. Pływałem na okręcie podwodnym. Przez trzy lata. Potem pracowałem w żegludze śródlądowej. To pozostaje w człowieku, od tego nie można właściwie uciec. Samo morze jest ciekawe. Może nie tyle ciekawe, bo wypada nawet powiedzieć, że monotonne, ale praca, służba na morzu wnosi do życia element stałego napięcia, podniecenia.

— Czy już wtedy myślał pan o pisaniu? Notował pan ciekawe zdarzenia?

— Nie. Ale teraz, kiedy wspominał służbę wojskową, odgrzebuje gdzieś w myślach marzenia o pisaniu. Byłem na jednostce pływającej, a tam nie ma czasu na nic. Służba jest najważniejsza. Nie można było nawet czytać, a co dopiero mówić o pisaniu.



Fot.: Krzysztof Raczkowiak

Choć morze zawsze mnie fascynowało, to jednak mój debiut książkowy nie był, jakby się mogło wydawać, marynistyczny. „Ostatnia posługa” była zbiorem kilku opowiadań współczesnych. Dopiero druga moja książka „Zemsta parowca” stanowiła premierę marynistyczną w moim pisarskim życiorysie. Potem przyszedł „Akta Świętego Trybunału” — książka przegodowa dla młodzieży, w której morze odgrywa jedną z głównych ról. Na dniach ukazuje się „Szyper z Bostonu” podobna gatunkowo do poprzedniej, aczkolwiek marynistyki jest tu tylko jedna czwarta.

SZUFLADKA

Pan Ryszard nie chce, by go szufladkować i położyć na półce wśród marynistów. Siega po różnorodność tematów, ale z przyjemnością zabiera się do książki, w której występuje jakiś wątek marynistyczny. Ponieważ pływał przez 5 lat — ten temat jest mu najbliższy, aczkolwiek ma już w swym niebagatelnym dorobku także cenne pozycje z odległych problemowo dziedzin. Zanotował niedawno sukces w konkursie na sztukę w Łodzi. Jego „Bankiet ku czci rozstrzelanych”

pierwotną satysfakcję. Przetwarzanie myśli w układne zdania, borykanie się z językiem, bezsilność czasem wobec niego jest denerwująca. Wykonywałem wiele zawodów. Pracowałem w kilkunastu zakładach. Najwięcej korzystam ze swych morskich doświadczeń. W tworzeniu bohaterów moich utworów posługuję się wszystkimi poczynionymi w życiu obserwacjami, cechami osób, z którymi pracowałem i wśród których dziś się obracam. Najbliższe jest mi środowisko robotnicze i dlatego łatwiej mi tworzyć obraz robotnika niż inteligenta. Bezwolnie korzysta się ze współczesności, nawet pisząc książki odległe historycznie. Ekspozuje się problemy istotne dla tamtych czasów, ale przecież spojrzenie jest współczesne. Wszystkie chwytły, np. archaizowanie języka dla podkreślenia epoki to jest według mnie sztuczna, zupełnie niepotrzebna podbudowa. Nie korzystam z tego. Niechętnie czytam i niechętnie piszę archaicznym językiem, bo skoro książka ma przemawiać do współczesnego czytelnika to najlepiej dla niej, jeśli przemawia współczesnymi, zrozumiałymi dla każdego wrażliwymi

kontrolę nad swymi predyspozycjami i uważam, że trzeba próbować w pisarstwie przez całe życie. Bo życie jest próbą odnalezienia siebie. Próba, której nieodłącznie towarzyszy niepokój.

NIEPEWNOŚĆ

— Zaczynając pisanie nie byłem pewny swego. W dalszym ciągu każdej mojej książce towarzyszy niepokój. Do swojego pisania podchodzę z wielką rezerwą. Bez zachwytów i przesady. Nigdy nie jestem przekonany, czy to, co napisałem, jest dobre czy też nie. Nie można być zadowolonym z pisania. Nie można być zadowolonym z jakiegokolwiek pracy. Bo zadowolenie znaczy koniec. To znaczy, że ja już robię coś tak dobrze, że teraz mogę produkować taśmowo. Mam wielu znajomych, którzy wpadają w samozadowolenie z każdego błędnego nawet powodu, ale mnie jest takie uczucie obce. Mogę nawet powiedzieć, że nie cieszę się wydaną książką. Traktuję ją jedynie jako owoc niedoskonały wielu miesięcy pracy. Czytając swe utwory chciałbym wiele w nich pozmieniać, udoskonalić.

ZADOWOLENIE ZNACZY KONIEC

NIEPOKÓJ

— Przyznaję się do niepokoju i ciągłego podenerwowania. Nie bardzo nadążam z myślami. Nie lubię mówić z wielkim wyrachowaniem, na zimno. To, co mnie interesuje, to ja się w to za bardzo angażuję. Czasem mnie ponosi. Może właśnie dlatego nie zasklepia się w jednym temacie — tylko ciągle poszukuję. Prześladowuje mnie świadomość, że w ten sposób trudno wspiąć się na literacki firmament. Bo najłatwiej wejść między wielkich poprzez jakąś tam „specjalizację”, ale według mnie takie obracanie się w jednym temacie może być dobre na jedną, dwie książki. Potem jest już tylko rozmydłaniem mniej lub bardziej udanym, w zależności od talentu pisarza. Dlatego wielu współczesnych pisarzy pamięta się najczęściej z jednej pozycji. Staram się uciekać od monotematyczności. Mam pełną

Ryszard Adamów już nie pamięta, kiedy miał autorskie spotkanie z czytelnikami. Tłumaczy to skromnie, że niezbyt bogaty ma dorobek, iżby miał z czym na takie wieczory przybywać. Jego książki idą, jak woda, ale przecież niewiele jest takich, którzy wiedzą, że Adamów to pisarz z Legnicy. I pewnie dlatego placówki kulturalne przeładowane są spotkaniami z literatami „importowanymi” z Wrocławia, mimo że członek ZLP jest pod ręką. Wprawdzie nie pali się do spotkań, ale gdyby go poprosić — życie kulturalne miasta województwa na pewno by się wzbogaciło. O czym przekonany jest nie tylko

CZESŁAW PAŃCZUK

Piętro nad Gilem mieszkała wdowa Halina Kra. Po poruczniku Krze-Malinie.

„Poszedł Jasiu do Legionów...”
Ech, dolo wdowia, dolo sieroca. Porucznikowa zwolniła służącą, zlikwidowała coczwartkowe herbalki, długo, długo czekała, wreszcie zamówiła mszę świętą — tak na wszelki wypadek — i zamieszkała z niejakim Cezarym Gołębiowskim, prezesem jakiejś — tam firmy w Ka. Po pół roku jakaś-tam firma splajtowała, prezes poszedł siedzieć i wdowa wzięła się znów za czekanie. Ale dokąd można czekać, kiedy blizszy świat, nieczuły potwór, wprost dyszy rozkoszami? Wdowa nie od razu uległa. Przez jakiś czas kłaza, jak to się mówi, cukier przez szybę. Myślała o surowościami, dystygnowanym prezecie, o marnotrawionych nocach i mężu-poruczniku. Bohaterze.

Jak właściwie było z porucznikiem Krze-Maliną, nikt dokładnie nie wiedział. Jedni mówili: „zginął”, inni — „zaginął”, jeszcze inni opowiadali, że mieszka w Kijowie w pałacu po carskim flegeladutancie, generale Demianecwie. Mieszka z przecudną, i, ma się rozumieć, demoniczną córką ważnego komisarza. I, oczywiście, wysługuje się bolszewikom.

Kra-Malina pozostawił żonie dwa koty — Cepa i Repa — trzypokojowe mieszkanie z wilgotną ławicą, córkę i — znacznie później, bo przyznana dopiero w 32 roku — rentę w wysokości 120 złotych miesięcznie. Porucznikowa rozpacziała, czekała, wreszcie usiłowała czekać. Ale cud się nie zdarzył: po poruczniku Krze-Malinie słuch zaginął, a wdowa — co tu mówić! — była zbyt młoda, zbyt ładna, zbyt miękka i gorąca, by czekanie mogło trwać wiecznie, co — rzecz jasna — niekiedy przytrafiła się mniej pomyślnym wdowom.

Kiedy koty po Krze-Malinie podychały, wdowa osuszyszczyla, „wzięła się za życie!”

Aż doszło do czego dojsz musiało: porucznik, prezes, furman, Julo-furman! Ech, dolo wdowia, dolo sieroca...! I nocami znów pociekły w poduszkę lzy wdowie serdeczne.

Na próżno wmawiała sobie, że Julo to żaden furman, lecz przedsiębiorca przewozowy, na próżno myślała i mówiła: „Mój znajomy, właściciel przedsiębiorstwa przewozowego...-Julo-furman był Julo-furmanem. I kropka. Jedna kobyła i jeden wóz nie mogły stanowić przedsiębiorstwa nawet w H.

Dwudziestoletnia córka wdowy, Grażyna, udała się w matkę. Ale nie czekała aż zostanie wdową. Ba! nie czekała w ogóle na żadnego męża. Weszła w życie z rozpędem... i od konia.

Wdowa Kra była bezsilna. Z własnego doświadczenia wiedziała, jaką rozkoszną siłę posiada smak grzechu.

Kiedy Grażyna oznajmiła, że w związku z przykrością, która jej się przytrafiła dwa miesiące temu, prawdopodobnie po zabawie w Striju, potrzebuje osiemdziesięciu złotych, by usunąć następstwa tej przykrości — wdowa Kra pojęta od razu, o co chodzi. Mimo to o mało nie umarła. Poraziła ją nagła świadomość, że w pewnym sensie już została babką. Wzięła trzydzieści kropel waleriany, dwa kognatki, wypła szklanek wody.

— Kto?! Na miłość boską, co to za szubrawiec?!

I na razie nie więcej nie przychodziło jej do głowy.

Grażyna długo kręciła, w końcu wyznała: — Żołnierzu.

Nie znała jednak, tajdaczka, jego nazwiska. Tylko imię: „Antek”.

— Oficer, oczywiście?

Antek, Antoni. Brzmiało nawet, owszem, przyzwoicie. Wdowie przypomniał się Anthony Eden, a potem niejaki Antoni Szopa, który kiedyś miał w Kolomyi fabrykę wód gazowanych.

— A więc oficer?

Grażyna wtuliła głowę w ramiona, powiedziała „nie” i zaraz chlipnęła.

Wdowa, niepewna uszu, powtórzyła pytanie, a kiedy ponownie usłyszała „nie”, z jękiem opadła na krzesło, natychmiast wstała, usiadła z powrotem, znów wstała i sięgnęła po walerianę. Nabrala oddechu i wzruszyła:

— Suko! Kurwo! Ladaćniczo! Mów... mów! O Boże!...

Dziewczyna, przygarbiona, stała przy oknie, chlipała coraz głośniejsze, i nie nie mówiła. Może nie wiedziała, co ma mówić? Miała na sobie obcisły, niebieski sweterek i brązową, plisowaną, dość luźną spódniczkę. Czarna, szczupła jak lina, o dużych oczach i szpiczastych wiersiach, bezwstydnie rozpychających sweterek... Ładna. Ładna, cholera!

„Czy to możliwe, żeby jakieś brudne dupka?...”, — myślała wdowa Kra zerkając podejrzliwie na brzuch córki. Brzech był zupełnie piasci, dziewczęcy, wprost niepokalany. „Czy to, do diabła możliwe?...”, — myślała

usiłując przypomnieć sobie, jak to było z porucznikiem Krze-Maliną...

Ledwie realnie błyski wspomnień, zamazane czasem, odległe, jak gąbki z siedmiu gór. Noc nad Dniestrem. Parna. Dłonie porucznika Krze-Maliny. Białe, wypielikowane, błądzące po jej ciele, po piersiach, udach, biodrach, szukające czegoś... Ochl pieknie miał tatyjak dłoń, pieknie i zaborecz. Do końca uduwała, że nie wie, czego szukała jego dłoń, nawet wtedy, gdy Dniestr naple stanął i umiaki, oddaliło się niebo, zgasty gwiazdy i świat cały przestał na krótko, na, niestety, zbyt krótko, istnieć.

— Nie płacz — powiedziała. Wstała, objęła córkę. Płecy Grażyny drżały od tłumionego łkania. — Czego się mazgaasz, durna. Przestań. „Muszę jej znaleźć przyzwoitego człowieka bo potem...”

Wdowa Kra pomyślała o swoim kaprawym losie, który ją związał z Julo-furmanem, i ołęboko westchnęła.



Przyzwoitych ludzi, owszem, było kilku w H. Ale — tak to już jest — jak nie kulały, to żonaty, jak nie żonaty, to impotent, pederasta lub podobny sukisyn.

Wdowa Kra myślała o Henryku Gile. Henryk Gil mógłby być. Od biedy. Albowiem wdowę, bądź co bądź praktykującą katolickę, żartu pewnie skrupuły. Właśnie z Gilem kiedyś, dawno, parokrotnie się zapomniała...

„Nie pamiętam już, po co przyszedł, zdaje się, że chodziło o list, który zostawił dla niego Jakub. Stałam nad białą pełną parującą bielizny. W kuchni unosiła się woń taniego mydła i chloru. Na stole siedziały dwa nieruchome koty. Mój widok nieco go speszył — tak mi się przynajmniej wydawało. Miałam na sobie kusy szlafroczek przepasany czerwonym sznurkiem — i nie pod spodem. Nie wiem, jak to się stało, ale nagle opadł ze mnie szlafrok, stanęłam przed nim nago: drobna, omazona brązem opalenizny, z trójkątem czarnych włosów między palczymi udami. I stało się: wystraszone koty skoczyły na kredens, a my kochaliśmy się na wilgotnym stole, w małej, zaparowanej kuchni. Potem płacząc mówiłam mu różne głupstwa i znów się kochaliśmy, dopóki nie wróciła ze szkoły Grażyna”.

W sobotę rano wdowa Kra, rad, miedad udała się do sponadzi. Wybrała jakiegoś przejeźdnego staruszka-misjonarza, bardziej, jak sądziła, wyrozumiałego na ludzkie słabości. Ale staruszek-misjonarz okazał się uredny, może nawet wredniejszy od miejscowych klebów, i do tego całkiem kpinisty. „Owszem, moja córko — oznajmił — taki związek jest dopuszczalny, ale za dyspensą papieską”.

„Istny wariat!” — pomyślała wdowa całując haftowaną srebrnem stule. I ani jej w głowie było użyć jennież oja świętego w swoje łóżkowe sprawy. Ba! na tacie, odmówiła litanie do świętej Magdaleny, i postanowiła próbować za dwa dni u tanego księdza.

Lecz wówczas właśnie się pojawił ktoś inny.

Sklep spożywczy wdowy Kry sąsiadował — poprzez mroczny korytarz z wjazdową bramą — z matym sklepikiem Żydówki Róży Halicerz: „Świece łojowe, karbid, lampy naftowe, nafta flaszkowa i luzem”. Do sklepu „Nafciarki” prowadziły dwa wejścia: od ulicy — dla klientów, i z korytarza — na zaplecze. W łpęu „Nafciarka” zwinęła interes i wyjechała do syna bawic wnuki. Od miastąka sklep stał pusty, śmiedził karbidem, naftą i — czort wie czemu — kapustą kiszoną.

Jakież było zdumienie wdowy Kry, kiedy udając się w niedzielę rano do kościoła, zobaczyła na drzwiach „Nafciarki” — tych w mrocznym korytarzu — kartkę:

Jacques Rigoletto Piast — Złotarózcza

Poeta i urzędnik magistracki

„O. Boże! Jacques Rigoletto!” — wdowa wprost skamieniała w przeogromnym zachwycie. Zapaliła jedną zapalke, drugą, a kiedy mrok bramy się cofnął, na krótko obnażając w całej okazałości sztyl tajemniczego twórcy, przeczytała: Poeta i urzędnik magistracki, i ani rusz nie mogła pojąć, co to może być za cholera. Wyszyła na ulicę, obejrzała wystawę

„Nafciarka”. Ale czego nie dojrzała. Szyba wystawowa, dokładnie zchlapaną wapnem, bielala prostokątną latą. Drzwi dla klientów — zabite. Na gluchą. Gwoździami.

W kościele wciąż się myliła. Wstawała, kiedy należało klęczeć i trwała na kolanach, kiedy inni stali; myliła pieśni, dzwonki, księdza z ministrantami... Myśląc o panu Jacques Rigoletto, ledwie dotrwała do końca mszy.

„Za wszelką cenę — powiedziała sobie — za wszelką cenę muszę go zobaczyć”.

Tym razem nie minęła drzwi poety (i urzędnika magistrackiego), lecz przystanęszy przed białą wizerówką, zdecydowanie zapukała. Przez dobrą chwilę nie się nie działo, jakby pan Piast-Złotarózcza spał albo wyszedł za potrzebą, po czym rozległo się ni to sapanie, ni ziewanie, zaczęły ciężkie kroki. Sekunda — serce wdowy tup! tup! tup! — jeszcze sekunda. Skrzyp otwieranych drzwi. I pan Piast-Złotarózcza, chyba pan Piast-Złotarózcza. Ale jaki tam Piast-Złotarózcza? Apolio! Isny Apolio... no, mniejsza z tym, skąd.

Metr dziewięćdziesiąt. Kudłaty. Blondym. Rumiany. Bez brzucha. Między trzydziestką a czterdziestką W łęczkach, spodniach, wyrzuconej na wierzch koszuli. Cudo!

„Wielki Boże!” — na widok tak pięknego mężczyzny wdowa Kra o mało nie straciła głowy.

— Przepraszam — przemówiła pośpiesznie — przepraszam, ja do...

Dopiero teraz mogła dokładnie przyjrzeć się panu Piastowi-Złotarózcze. Z zadowoleniem stwierdziła, że pierwsze wrażenie okazało się trafne. Pociągła, męska twarz, mocno zarysowane łuki brwi, niżej duże oczy, jeszcze niżej — między mięsistymi wargami a greckim nosem — najeżony, jak szczoteczka do zębów, jasny wąsik. Prawą ręką pan Piast-Złotarózcza wspierał się o futrynę, w lewą trzymał palecnie z parującą jajecznica.

— Mówi pani o tej starej Żydówce? — zapytał. Głos miał niski, chrapliwy, z brzucha.

„To od czarnej kawy?” — pomyślała. Wiedziała oczywiście, że każdy poeta wypija co noc duży czajnik kawy. Nim się odezwała, pan Jacques Rigoletto Piast-Złotarózcza burknął:

— Wyjechała. — I zamknął wdowie przed nosem drzwi.

„A niech go diabli! Uciekł!” Wdowa Kra nie wiedziała, czy powinna się czuć obrażoną, w końcu uznała, że pan J. R. Piast-Złotarózcza, jak na poetę, zachował się zupełnie przyzwoicie. Kiedy się siedzi po nocach i tworzy, nie ma miejsca na głupie dyrdymały. Sam Napoleon nie grzeszył oglądą.

I w tej chwili jakaś tam grzeczność wydała się wdowie płaska, ohydna, lepka jak zaskrobiec. I aż zatręsnęła z obrzydzenia.

W poniedziałek całe przedpołudnie wystawała w drzwiach sklepu, zerkając wzdłuż ulicy, kątem oka pilnowała bramy. Ale ulica — jak ulica: pejsaste Żydy, baby z boćkami młeka, granatowy Kuklak z rozdyndaną patką, turek wozów, kupki konskiego łajna, wrzask dzieci, psów, dozorców i pijanego piekarza Ogarka. Pana J. R. Piasta-Złotarózczi ani udu, ani słychu. Wdowie poczęły cierpnąć nogi, zaczęła od kręcenia szyją. Kilka razy musiała wejść do sklepu, by obsłużyć klientów i za każdym razem umierała ze strachu. I nagle o mało nie chlipnęła ze szczęścia. Przed wystawą, przed jej wdową Kry wystawał stał pan Jacques Rigoletto Piast-Złotarózcza i z wielką uwagą oglądał ser szwajcarski. A po serze, o Boże! na złosć — laża duża mucha-kleparówka.

— Dzień dobry! — zawołała nieco piskliwie, speszona tą cholerną kleparówką. — Pan sąsiad tak z samego rana?

„O, Boże, co ja plotę, niedługo dwunasta!”

Powiedziała coś o pogodzie, serze, muchach. Szybko, bezwładnie, aby mówić. Bała się, że pan J. R. P-Z znów coś burknie i ucieknie.

Alle poeta nie uciekł. Uniósł kudłaty łeb, najeżył wąs, popatrzył pusto na wdowę. I, widząc, ją poznał, bo zaraz uśmiechem okraszył gębę, wypchnął szare oczy.

Cokolwiek by się powiedziało o wdowie, była to kobietka pomyślna, drażliwie pomyślna. Ani czterdziestka, do której się zbliżała, ani urozmaicone życie, ani warteścił tuszczu obsiadające tu i ówdzie biodra nie daly jej rady. Ciagle pociągająca, atrakcyjna, pełna żaru, ognia jak spirytus, ciagle stanowiła ogromne niebezpieczeństwo pokuszenia.

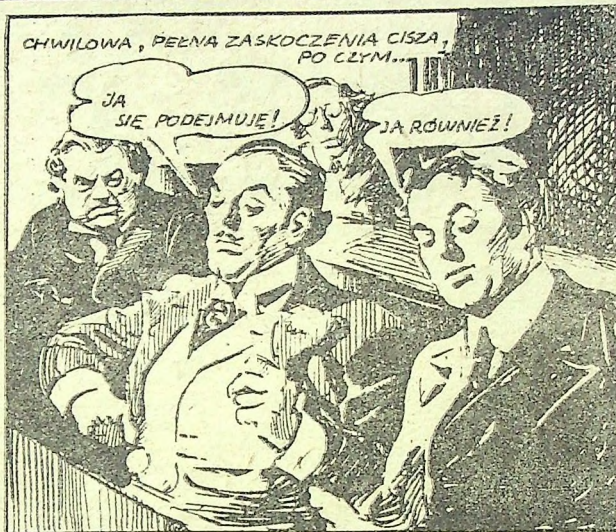
Poeta Piast-Złotarózcza, człowiek niewątpliwie uciążliwy ponad przeciętność, patrzył przez chwilę oszołomiony — co wdowa wyczytała z radością i bez trudu z jego jasnych oczu — po czym chrząknął, spochmurniał i ochryplym basem zapytał:

— Zna pani Talańdę? Winiem mi dwadzieścia złotych, sukisyn!...

„Haj za hajem zelenenkim” — wypisiewał wdowie całą ubiegłą jesień Talańda, ale jakże ta się przynęca do znajomości z sukisynem?

— Mniejsza o to — powiedział poeta. Kupił dziesięć deka edamskiego i spytał o śledzie.

Jest to fragment nie ukończonej jeszcze powieści Ryszarda Adamowa.



WPHW

KON-
KURS

WPHW

Profesor Challenger po-
padł w tarapaty. Postawio-
no go przed sądem. To tyle
tytułem wprowadzenia w
akcję komiksu. Żeby zaś
jego czytanie utrudnić, kil-
ka wyrazów zakodowaliśmy
cyframi. Czytelników oprócz
niewątpliwej przyjemności
obejrzenia historyjki, czeka
zadanie odszyfrowania wy-
razów. Litery ustawione w
kolejności od 1 do 31 da-
dzą rozwiązanie konkursu.

Konkurs-komiks przygo-
towany został przez naszą
redakcję i Wojewódzkie
Przedsiębiorstwo Handlu
Wewnętrznego w Legnicy.
Na szczęśliwców czekają
cenne nagrody: MIKSER
„53”, SOKO-WIRÓWKA
„MALINA”, MASZYŃKA DO
GOLENIA, DWA RADIO-
ODBIORNIKI TRANZYSTO-
ROWE i SUSZARKA.

Życzymy przyjemnej roz-
rywki i powodzenia w loso-
waniu!

Na odpowiedzi (naklejone
kupony na kartkach poczt-
towych) czekamy do 15
stycznia 1978 roku. Decy-
duje data stempla poczt-
owego. Nasz adres: Redak-
cja „KONKRETY”, ul. Armii
Czerwonej 4/4, 59-300 Lu-
bin. Prosimy o dopisek
„KONKURS-KOMIKS”.

WPHW

kupon

Nadawca:

Hasło:

WPHW

— Jak ma Pan na imię?
 — Marian.
 — Szkoda. Myślałem, że Feliks.
 — Dlaczego Feliks? A Marian to nieładnie?
 — Ładnie. Ale Feliks by bardziej pasowało...
 — Aaaa! Ze niby Felix znaczy szczęśliwy.
 — Właśnie. Niech Pan mi powie, jak to właściwie jest z tym szczęściem?
 — Tak jak ze wszystkim innym — albo się je ma, albo nie.

— Przede wszystkim jest uorany w pyłochłonna kombinezon. Na szyi ma zawiązany mantuch, czyli szal. Na ramieniu spoczywa graca — takie uniwersalne żelastwo do skrobienia kominów. Ma oczywiście linę — jak alpinista, i kracę, czyli kulę ze stalową szczotką, którą się wpuszcza do komina. Do pasa ma przyczepione klucze od szybrów, zasuw, kłap i innych kominowych zamknięć...
 — To wszystko?
 — Jeszcze rower.

WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO...

— A Pan ma?
 — No pewnie! Tego by jeszcze brakowało, żeby kominarz nie miał szczęścia! Przecież codziennie rano, przy goleniu, widząc siebie w lusterku, łapię się za guzik!
 — Od pizamy?
 — A jakie to ma znaczenie? Ważne, że widzę kominarza!
 — Ale w lusterku i bez munduru!
 — Niech pan nie będzie drobiazgowy! Mundur nie jest ważny, ważne jest to co pod nim — dusza. A ja mam duszę kominarza!
 — Oooo...
 — Zadowolony ooo...! Od lat 18 jestem kominarzem, a od sześciu mistrzem kominarskim. Szarża, proszę pana!
 — A gdzie cylinder?
 — Nie ma, zabroniła wyższa jeszcze szarża. Przeżytek!
 — Pan żartuje?
 — Jak bym śmiał! Kominarz ma teraz chodzić w mycie na głowie, a najlepiej w hełmie...
 — Pan — powtarzam — żartuje!
 — Troszeczkę. Cylinderów dziś nikt nie robi, a nasze władze BHP-owskie rzeczywiście najchętniej ubrałyby nas w hełmy.
 — A ten cylinder, to był tylko dla sztyku?
 — Nie tylko. To był właśnie taki niby-helm...
 — Co kominarz ma z sobą w pracy?

— Ana. Kominarz — w taki zawód na wymarcu?
 — Ech, ci dziennikarze! Na wymarcu? To pan myśli, że w nowych domach nie ma przewodów kominowych i wentylacyjnych? A zakłady przemysłowe — te dopiero mają kominę!
 — Na co się najbardziej skarżą kominarze?
 — Na, że zabezpieczane i nie konserwowane dojścia do kominów. Sam raz omal nie spadłem z deski dachowej, która okazała się być przegniła...
 — Nie widział pan?
 — Nie, ponieważ była zima, a na desce leżał śnieg...
 — Górnicy mają Barbórkę, a kominarze...
 — Floriana, proszę redaktora, Floriana... 4 maja. Florian to był legionista rzymski, który się wslawił ugaszeniem jakiegoś ładnego pożaru. Zresztą święty.
 — Dlaczego święty, że gasił?
 — Proszę pana, każdy z nas powinien zostać świętym, bo tylko taki może wytrzymać widok stosów śmieci, makulatury i innego świństwa na strychach i w piwnicach w niektórych domach w Legnicy. Wystarczy jedna iskierka...
 — To kominarze nie tylko czyszczą kominę?
 — Przede wszystkim dbamy o życie i mienie ludzkie, zagrożone przez źle funkcjonujące piece, wa-



Fot. Krzysztof Raczko

dliwe kominę, nie czyszczone przewody itp. Jesteśmy zdunami, strażakami, BHP-owcami...
 — Dawcami szczęścia...
 — Tak! Szczególnie przed maturą... Opędzić się nie można od gimnazjalistek i gimnazjalistów! Każdy chce potrzymać za mundurowy guzik...
 — Pomaga?
 — Jeszcze jak! Obliczyliśmy z kolegami, że przynajmniej 30 procent szczęśliwie zdanych matur, to nasza zasługa!
 — Pan, zdaje się, w przyszłym roku również.

— Również zdaje maturę, chciał pan powiedzieć? Tak! W Technikum Budowlanym. Ale to dla mnie fraszka! Łapię za guzik szefa i po kłopotcie!
 — Czy mogę, w imieniu wszystkich czytelników „Konkretów” potrzymać pana za guzik?
 — Oczywiście! Proszę również życzyć im wszystkiego najlepszego w Nowym Roku. Ode mnie i wszystkich kominarzy!

Z MARIANEM AMROŻYM — mistrzem kominarskim — rozmawiał LUKASZ ANDRZEJEWSKI

DYSKUSJA telewizyjna we Francuskim Zgromadzeniu Narodowym przebiegała nader spokojnie. Obyło się bez tradycyjnych ostrych polemik między deputowanymi opozycji lewicowej i rządowej większości. Audycje trzech programów telewizji francuskiej nie cieszą się już bowiem wysoką jakością ani dobrym poziomem wykonania. Co gorsze, że sytuacja systematycznie się pogarsza.

Zgromadzenie Narodowe dyskutowało nad przyszłorocznym budżetem, a także raportem o aplikacji reformy francuskiego radia i telewizji, przegłosowanej przez tych samych deputowanych 3,5 roku temu. Wówczas — latem 1974 roku, w trzy miesiące po wyborach prezydenckich — nastąpił podział ORTF na zależne od państwa sfery i konkurujące ze sobą towarzystwa (osobne dla każdego z trzech programów TV i dla radia). Narodziły się też wówczas trzy dodatkowe techniczne instytucje pracujące dla potrzeb środków audiowizualnego przekazu: głównie produkujące filmy i programy telewizyjne, gromadzące archiwum itd.

Jednym z głównych motywów ówczesnej reformy była walka z biurokracją i nadmiernym przerostem papierkowej roboty, a także doprowadzenie po pewnym czasie do samowystarczalności finansowej FRP (Francuskie Radio i Telewizja). Uniezależnienie od siebie trzech programów TV oraz radia miało dać pozytywne wyniki także w sferze artystycznej, informacyjnej, komentarszowej i rozrywkowej. Dodatkowym bodźcem jakościowym miało być również uzależnienie dotacji kredytów państwowych od jakości i popularności programów wśród widzów.

Zacznijmy od końca, a więc jak wygląda po trzech latach „konkurencyjność” trzech programów telewizji?

Sroda — 16 listopada. Casy kraj o wielu już dni żyje meczem piłkarskim Francja-Bulgaria. Stawką jest udział w przyszłorocznych mistrzostwach świata w Argentynie. Mecz będzie transmitowany po wieczornym serwisie informacyjnym w programie drugim. Zegnając się z widzami, prezydent dziennika programu pierwszego pół żartem, pół serio oświadcza, że nie radzi rodakom tracić 105 minut na oglądanie meczu. W jego programie

RYSY NA MAŁYM EKRANIE

bowiem można w tym samym czasie obejrzeć prawdziwe dzieło o życiu — film psychologiczny, który nie wzbudzi niebezpiecznych palpacji serca, lecz da podstawy do oceny naszego własnego światopoglądu. I na końcu tytrady dodaje: „Drogi, zmęczony codzienną gonitwą panie: nakarmiłyście męża, położyłyście dzieci do łóżek, macie prawo wreszcie oglądać to, co chcecie, to, co was odpręży, co da wam świadomość waszych spraw... Panowie, po filmie nadamy obszerny skrót najciekawszych fragmentów meczu.

Tymczasem — z ujmą dla programu 1, mecz w II programie, oglądano tego wieczoru około 20 milionów Francuzów. A od ilości osób zasiadających przed małym ekranem i patrzących na określony program zależy skomplikowany system dotacji państwowych. Konkurencja jest więc bezpardonowa: u was po

raz dziesiąty „Kojak”, to u nas po raz szósty Brygada Tygrysa, wy nie wstydzicie się puścić darmowego już (po 15 latach), felietonu amerykańskiego, to i my zrobimy to samo. A widzowie tymczasem skarżą się na wyrażne i stałe pogarszanie jakości programów telewizyjnych, mimo że w ciągu 3 lat zwiększyły one swoje wydatki dwukrotnie — do 4 miliardów franków rocznie.

Mimo tak znacznego wzrostu wydatków, zmniejsza się wyraźnie ilość programów własnych, filmów telewizyjnych, audycji ambitnych, artystycznych itd. Są one oczywiście znacznie droższe niż stare filmy i felietony, którymi zapycha się program. „Gdyby jeszcze wata telewizyjna była wata francuską — mówił deputowany gaullistowski w Zgromadzeniu Narodowym — tymczasem nasze programy już w ponad 40 procentach odżywiają się amerykańską masówką”.

„My też chcielibyśmy być oryginalniejsi, ambitniejsi i po prostu lepsi. Cóż z tego, jeśli ceny, które ustala towarzystwo produkujące programy, są astronomiczne. Na przykład 2 miliony franków za typowe, godzinne, konwencjonalne przedstawienie teatralne, gdy ja muszę wypłacić 3.500 godzin rocznie” — bronił się patron programu pierwszego. Pateczka została przekazana koledze — a widzowie narzekają, bo albo audycje na wszystkich programach są dobre, lub nawet bardzo dobre, ale zdublowane, albo mijają dni, w których czystą stratą czasu byłoby otwieranie odbiornika.

7 grudnia rząd francuskiego. Czy zdolają oni zmniejszyć deficyty (po 1980 roku telewizja ma stać się samowystarczająca), czy potrafią spojrzeć na program oczami niezadowolonych obecnie widzów?

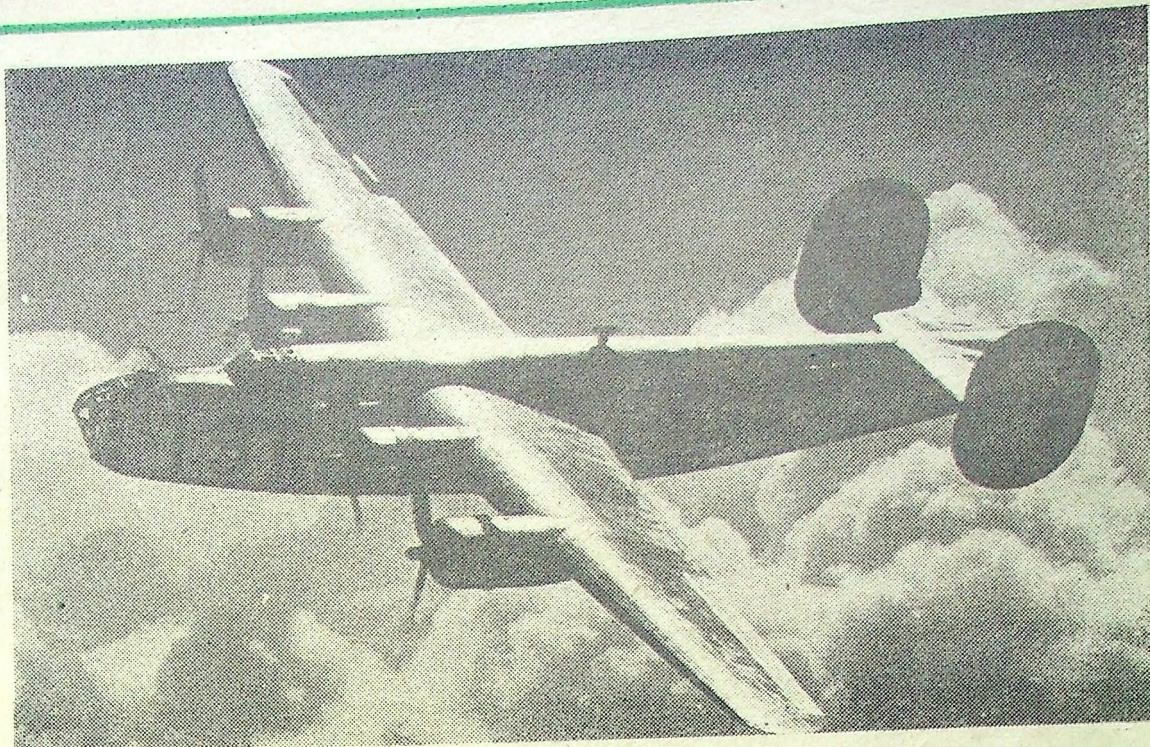
ANNA BIELECKA

PRAWIE przed dwudziestu laty, na początku listopada 1958 roku angielscy i amerykańscy geolodzy poszukujący złóż ropy naftowej, dokonywali lotu zwiadowczego wysłanym DC-3 nad Pustynią Libijską. Dwusilnikowy samolot przeleciał nad dżunglami libijskiego morza piaszków, biorąc kurs na zdradliwe i niedostępne Seriru Kalanszo. Jest to prawie płaska, kamienista równina, której najdalej wysunięty punkt położony jest o około 320 mil na południe od Benghazi. W pewnym momencie pilot poszukiwawczego DC-3 sądził, że ma jakieś przewidzenie spowodowane niesamowitym upałem: w dole, na rozżarzonym piasku spoczywał duży, czterosiłnikowy samolot, błyszcząc w słońcu srebrzystą blachą pokrycia. Tajemniczą maszynę spostrzegli także pasażerowie DC-3, naukowcy-geolodzy. Tak, to nie było żadne złudzenie. Dwusilnikowa „Dakota” schodzi lotem koszącym i dopiero teraz można obejrzeć dokładnie maszynę spoczywającą na piasku.

Nie ulega wątpliwości, że przez przypadek odkryto jeszcze jeden dramatyczny epizod minionej wojny. Samolotem leżącym na piasku pustyni był amerykański ciężki bombowiec typu B-24 „Liberator”, budowany kiedyś w dużych ilościach i używany powszechnie przez lotnictwo wojskowe USA i Wielkiej Brytanii w okresie II wojny światowej. Był to całkowicie metalowy jednopłatowiec czterosiłnikowy, który mógł zabierać na pokład do 3 ton bomb. Produkowały go masowo amerykańskie firmy lotnicze Consolidated, Douglas, Ford i North American. Właśnie na „Liberatorze” w tajemniczej katastrofie (1943 rok) zginął w Gibraltarze gen. Sikorski.

Pilot DC-3 krąży bardzo nisko nad „Liberatorem” i stwierdza, że bombowiec jest uszkodzony; rozbili się widocznie podczas przymusowego lądowania na schowanym podwoziu. Samolot jest przechylony na lewe skrzydło, brak mu jednego z czterech silników, śmigła w pozostałych są zgietę, a kadłub częściowo przełamany tuż za kabiną załogi. Pasażerowie z geologicznego samolotu DC3 po powrocie z tego lotu niezwłocznie powiadomili o swoim odkryciu bazę lotniczą USA niedaleko Tripoli. Amerykanie stwierdzają, że to chyba nie ich samolot Bombowce B-24 nawet podczas działań bojowych nie zapuszczali się tak daleko nad te zdradliwe, pustynne tereny. I właściwie na tym początkowo sprawa się kończy. Ale pilot DC-3 przeornie oznaczył położenie tajemniczego wraka samolotu na mapach, którymi potem mieli posługiwać się poszukiwacze ropy naftowej.

Upłynął rok. W maju 1959 roku na miejsce, w którym leżał częściowo rozbity „Liberator”, przybyły ekipy poszukiwawcze ropy naftowej ze sprzętem zmechanizowanym. Podczas oględzin bombowca stwierdzono, że jednak jest to maszyna amerykańska oznaczona liczbą 64. We wnętrzu kadłuba nie natrafiono na żadne zwłoki ani na coś, co by świadczyło, że ktoś z załogi



Samolot bombowy typu B-24 „Liberator” podczas lotu bojowego. Niektóre dane techniczne bombowca: rozpiętość skrzydeł — 33,5 m, długość — 20,5 m, uzbrojenie — 8—12 działek, ciężar całkowity — 27 ton, prędkość maksymalna — 450 km/godz. Fot. ze zbiorów autora

DRAMAT NA PUSTYNI

ANDRZEJ MACKO

odniosły rany podczas katastrofy. Po prostu nie natrafiono na żadne ślady obecności ludzi w bombowcu podczas jego przymusowego lądowania. Co się więc z nimi stało? Czy ktoś z załogi „Liberatora” 64 przeżył? Po dokładniejszym przeszukaniu kabin samolotu odnalazł się dziennik nawigatora i to był ten pierwszy, najważniejszy punkt wyjścia do późniejszych ustaleń. Z zapisu nawigatora w tym dokumencie wynikało, że ostatnim lotem bojowym „Liberatora” 64 był start do nocnego nalotu na port w Neapolu, dokonany 4 kwietnia 1943 roku.

Dzięki tej informacji dalsze poszukiwania ostro ruszyły z miejsca. Dowództwo US Air Force stwierdziło, że istotnie jest to ich bombowiec, należący do 376 Zgrupowania Lotnictwa Bombowego. W kwietniu 1943 roku zgrupowanie stacjonowało na jednym z lotnisk w Soluch na wybrzeżu libijskim, niespełna 40 mil na południe od Benghazi. Udało się także ustalić nazwiska ośmiu członków załogi i dowódcy samolotu — razem dziewięć osób. Dowódcą był 26-letni porucznik-pilot, William Hatton z Nowego Jorku. Owe fatalnej, kwietniowej nocy 1943 roku wskutek bardzo złych warunków atmosferycznych eskadra bombowców, w której znajdowała się także załoga porucznika Hattona, musiała zawrócić z lotu bojowego, nie dokonując nalotu na port w Neapolu. Kilka maszyn uległo defektom, część pogubiła się w ciemnościach. Każdy leciał na własną rękę, usiłując jak najszybciej wylądować w macierzystej bazie. Najprawdopodobniej wskutek błędu namiarowego operatora ze stacji goniometrycznej w Benghazi i małego doświadczenia lotniczego dowódcy „Liberatora” 64 maszyna przeleciała w pobliżu własnej bazy i wzięła kurs w głąb Afryki. Ponieważ w eterze obowiązywała cisza radiowa, porucznik Hatton przez długi czas lotu nie wzywał ponownie stacji namiarowej w Benghazi. Wreszcie kiedy chciał to uczynić — bombowiec był już poza jej zasięgiem.

Załoga patrząc w dół usiłowała bezskutecznie wypatrzyć jakieś charakterystyczne punkty nawigacyjne, światła, zarysy brzegu morskiego. Dramatyczną pomyłką było prawdopodobnie wzięcie falistych dżungli libijskiego morza piaszków za fale... Morza Śródziemnego. „Liberator” leciał coraz głębiej w głąb bezludnych terenów pustynnych. Wreszcie wskutek braku paliwa silniki zaczęły przerywać. Załoga straciła już zupełnie rozeznanie gdzie się znajduje, więc dowódca polecił opuścić na spadochronach pokład bombowca. Automatyczny pilot utrzymywał „Liberatora” w łagodnym locie ślizgowym, lotnicy wyskoczyli ze spadochronami. Bombowiec leciał jeszcze jakiś czas bez załogi i potem zniknął za horyzontem...

Z archiwalnych dokumentów amerykańskich wynikało, że „Liberator” 64 został uznany za samolot zaginiony podczas lotu na zbombardowanie statków nieprzyjacielskich w porcie Neapolu. Poszukiwania wybrzeża w tym rejonie oraz pewnej szerokości pasa morskiego nie przyniosły naturalnie żadnego rezultatu, więc odczekano jeszcze rok, aby stwierdzić iż najprawdopodobniej wszyscy lotnicy z „Liberatora” 64 już nie żyją.

W lutym 1960 roku kolejna grupa poszukiwaczy ropy naftowej dokonała kolejnego odkrycia, rzucającego pełne światło na dramatyczny los lotników z „Liberatora” 64. Odnaleziono mianowicie część zmumifikowanych w gorącym piasku pustyni zwłok i dziennik. W częściowo zniszczonym już notatniku zawarty był w oszczędnych zdaniach cały ogrom cierpienia tych ludzi w trakcie beznadziejnej wędrówki przez pustynię powolnego konania z braku wody wyczerpania i wyniszczenia upałem. Nawigator bombowca zapisywał w tym notatniku wszystkie ich poczynania po ratowniczym skoku z B-24, prawie do samego, tragicznego końca wędrówki.

Mapy, którymi dysponowali lotnicy, nie obejmowały obszaru, na którym wylądowali po skoku spa-

dochronowym. Sądziło, że są najwyżej o 100 mil od swojej bazy w Soluch. Ruszyli niezwłocznie w drogę znacząc szlak za sobą podartymi klinami ze spadochronów. Miały to być znaki dla poszukujących ich samolotów. Wędrówkę rozpoczęło ośmiu lotników, bo dziewiątego, strzelca pokładowego — nie mogli odnaleźć po skoku. Do dyspozycji mieli tylko dwie manierki z wodą. Trzecią posiadał przy sobie ich zaginiony kolega. Agonia tych ludzi trwała prawie całe dziewięć dni. Przeżyli cały ogrom tragedii wyczerpującego marszu w rozpalonym, pustynnym słońcu i niemożność jakiegokolwiek odpoczynku w zimnych nocach. Prawie mającąc, potykając się w grząskim piasku — szli uparcie do przodu. Wreszcie pięciu z nich, nie mając już zupełnie siły, padło na piaszczyste dżungli, czekając tylko rychłej śmierci. Kończyła się woda do picia. Pozostała trójka pożegnała się z piątką towarzyszy niedoli i postanowiła mimo wszystko kontynuować marsz, chcąc za wszelką cenę sprowadzić pomoc. Wkrótce i na tych trzech lotników przyszedł tragiczny koniec. Zwłoki całej ósemki przysypały lotne piaski.

W niedługim czasie ekipy „nacierzy” odnalazły zwłoki dziewiątego członka załogi „Liberatora” 64, strzelca pokładowego. Były przykryte prawie trzymetrową warstwą piasku. Spadochron nie otworzył się podczas skoku z bombowca.

W 1961 ROKU wrak bombowca po małym remoncie został przewieziony do USA, gdzie był eksponowany w nowojorskim muzeum lotnictwa wojskowego wraz z dramatycznym opisem dziejów jego załogi. Szczatki lotników dopiero w kilkanaście lat po zakończeniu II wojny światowej zostały z należytymi honorami pochowane na cmentarzach w ich rodzinnych stronach.

KONKURS



W miejsce cyfr należy podstawić litery, te zaś ułożone w kolejności od 1 do 39 dadzą rozwiązanie — hasło, które należy nadsłać na adres: Redakcja „KONKRETY”, ul. Armii Czerwonej 4/4, 59-300 Lubin. Termin do 10 stycznia 1978 roku (decyduje data stempla pocztowego).

W konkursie zorganizowanym przez naszą redakcję i Oddział Wojewódzki Państwowego Zakładu Ubezpieczeń w Legnicy wśród autorów prawidłowych odpowiedzi rozlosowane zostaną następujące nagrody: SOKOWIRÓWKA Z MIKSEREM, ZEGAREK NA REKĘ, PLECAK, SUSZARKA DO WŁOSÓW, KOMPLET DO BADMINTONA, PRODIZ.

Rozwiązania należy nadsyłać wyłącznie na zamieszczonych kuponach naklejonych na karty pocztowe.

KUPON

Hasło: _____

Imię i nazwisko: _____

Adres: _____

ENCYKLOPEDIA Po-
wszechna PWN —
Ropa naftowa: cie-
kła, kopalna mie-
szanka węglowo-
dorów, gl. parafinowych, o-
ftenowych i aromatycznych, o
barwie żółtej, zielonkawej,
brunatnej lub czarnej. Powsta-
je wskutek przeobrażenia w
warunkach beztlenowych,
szczątków organizmów roślin-
nych i zwierzęcych. Otrzymu-
je się z niej m. in. paliwa
płynne, parafiny, asfalt, oleje.
W Polsce występuje w Karpa-
tach, zapadliku przedkarpac-
kim i na Ziemi Lubuskiej...

Tyle encyklopedyczna notka.
Ale o ropie naftowej można w
nieskończoność. Że jest podsta-
wowym surowcem energetycznym
XX wieku, że stała się źródłem
bogactwa — i co z tym się wią-
że, wzrostu wpływów politycz-
nych wielu krajów arabskich, że
świat szuka jej wszędzie — pod
skutą wieczną zmarzliną ziemią
Alaski i w płytkich szelfach mórz
tropikalnych. Słowem — bez ropy
naftowej nie ma współczesnego
świata, jej brak spowodowałby
największą katastrofę cywilizacyj-
ną w dziejach ludzkości.

Legenda głosi, iż na pomysł
praktycznego zastosowania ropy
naftowej pierwsi wpadli noma-
dowie zamieszkujący kilkadziesiąt
setek lat temu okolice Morza
Kaspijskiego. Ta lepka, wydoby-
wająca się ze szczelin, czarna
maź, okazała się łatwopalna, da-
jąca ciepło i światło. Można są-
dzić, iż wszędzie tam, gdzie wy-
stępowała ona w stanie wolnym
na powierzchni ziemi, ludzie prę-
dziej czy później uczyli się wyko-
rzystywać jej właściwości. W koń-
cu aptekarz z Jasła — Ignacy
Łukasiewicz nie odkrył tamtej-
szej ropy natchniony duchem bo-
żym — powiedzieli mu o niej
miejscowi włościanie, od pokoleń
konstruujący prymitywne kaganki
na tę dziwną, tłustą maź. Imię Łu-
kasiewicz — człowiek światły i w
rzemiośle aptekarskim biegły,
poddastyłował ją jeno co nieco,
kaganek ulepszył i w ten sposób
uzyskał nieśmiertelność...

Ale prócz tych właściwości —
nazwijmy je ogólnie energetycz-
nymi — ropa naftowa miała jesz-
cze inne. Służyła celom magicz-
nym i... leczniczym. Te dwie sprawy
zresztą w owych czasach by-
ły właściwie jedną — każdy lek
nosił w sobie pierwiastek magii,
każdy przedmiot, byle odpowied-
nie użyty, mógł być lekiem. Toteż
ropa — ta substancja wypływają-
ca gdzieś z ziemskich trzewi i
przez to samo już tajemniczą i
magiczną — nacierano się, pito,
używano w charakterze cudowne-
go, magicznego balsamu. Z jakim
skutkiem? Ano właśnie.

Zanim odpowiemy na to pyta-
nie, słów kilka na temat szerzą-
cej się ostatnio na Zachodzie, mo-
dzie na leczenie rozmaitych scho-
rzeń, przy pomocy dość nieco-
dziennych, a przynajmniej dotych-
czas nie stosowanych w medycy-
nie, substancji. Z czego się biorą
takie tendencje? Powody są dość
skomplikowane. Współczesny czło-
wiek, to człowiek wykształcony,
mający podstawy fizjologii, bio-
logii, przy tym mający dostęp do
wszelkich źródeł informacji nau-
kowych w tym i medycznych. Tu
nawet nie trzeba specjalnych za-
biegów, by dotrzeć do owych in-
formacji — czytelnik gazet, tele-
widz, słuchacz radia jest nimi bez
ustanku atakowany. Przestrzega
się go przed przeziębieniem, za-
wałem rakim, wrzodami żołądka

czy nerwicami, zalecając jedno-
cześnie cudowne, uniwersalne
przeciw nim środki. Okazują się
one najczęściej ani lepsze, ani
gorsze od innych, już znanych,
ale cóż — reklama... W takiej sy-
tuacji człowiek postawiony wobec
autentycznego zagrożenia swoje-
go zdrowia, człowiek sceptycznie
nastawiony do owych cudownych
panaceów, zaczyna szukać ratun-
ku gdzie indziej. I znajduje go —
ze skutkiem lub nie — w medy-
cynej ludowej, zielarstwie, magii
nawet (vide — reklamy filipiń-
skich znachorów) lub w lekach —
nazwijmy je — nieuznawanych
przez współczesną medycynę. Ta
zresztą coraz częściej zaczyna
traktować poważnie owe metody
i specyfiki, poddając je rzetelnym
badaniom, lub wykorzystując do-
świadczenia.

Na początku roku dość dużo
hałasu narobiły opowiedziane
przez jednego z dziennikarzy duń-
skiej gazety „Tage”, historie o cu-
downym wyleczeniu wielu osób...

czony jest najmłodszy syn Pauli
Ganner. Dostaje on paraliżu dzie-
cięcego, w jego najbardziej ostrej
i właściwie nieuleczalnej formie.
Następne cudowne wyleczenie —
oczywiście naftą i to w ciągu... ty-
godnia. Niestety jednak nie o-
puszczają rodziny Gannerów.
Starszy syn, przypadkowo zranio-
ny ostrym narzędziem, przeżywa
ostrą infekcję. Traci 1,5 miliona
czerwonych ciałek krwi i 14 kg
wagi. Pięć dni zażywania nafty i
chłopak jest zdrow jak ryba —
wraca do pracy.

Paula Ganner jest więc przeko-
nana, że nafta jest uniwersalnym
panaceum na wszystkie choroby.
Z przeświadczenia tego uczyniła
profesję — jej sposób leczenia jest
podobno opatentowany w kilku
krajach. Wyleczyła... 20 tysięcy
chorych.

Dziennikarz, Carl Hupt opisuje
kilkanaście przypadków wylecze-
nia, które jeśli istotnie miałyby
być prawdziwe, stanowiłyby au-
tentyczny ewenement w sztuce

organizmów żywych. Czy pomaga,
rzecz wątpliwa, natomiast z pew-
nością nie szkodzi. Kto ma zdro-
wy żołądek i dużo silnej woli —
niech pije!

Co do właściwości leczniczych
to — jak się wyżej powiedziało —
są one dość wątpliwe. Nafta była
co prawda stosowana w medycy-
nie ludowej do nacierania — przy
odmrożeniach, oparzeniach czy...
tysieniu, natomiast jej zażywanie
wewnętrzne jest niesprawdzone i
może być tylko przedmiotem spe-
kulacji.

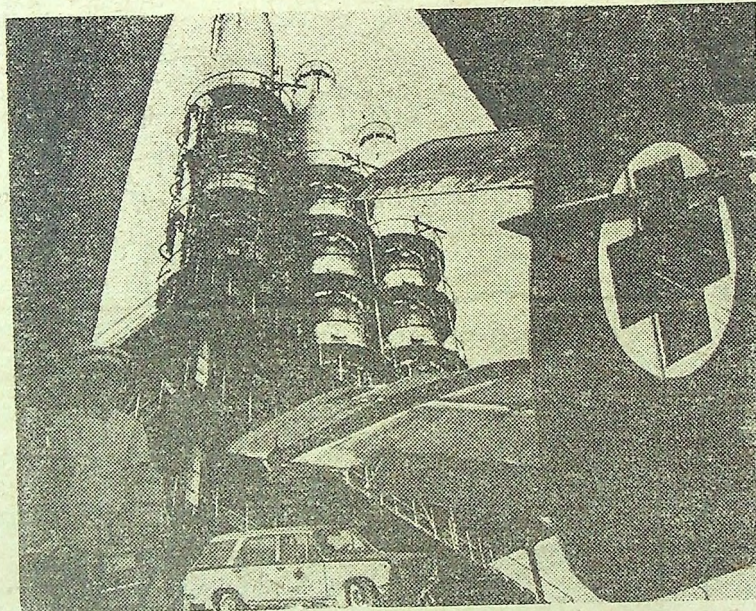
Wszyscy nacierają wiedzą, iż ro-
pa naftowa pochodząca z różnych
pól, a nawet z tych samych, lecz
z różnych odwiertów, dość znacz-
nie się różni składem chemicz-
nym. Zawierać może — w charak-
terze domieszek — zanieczysz-
czeń, rozmaite pierwiastki: miedź,
ołów, mangan, kobalt, żelazo, siar-
kę i wiele innych. Jest rzeczą do-
wiedzioną, że prawidłowe fun-
kcjonowanie żywych organizmów
w dużej mierze uzależnione jest
od dostarczenia im pewnych, nie-
wielkich ilości substancji nieorga-
nicznych, przede wszystkim meta-
li. Te właśnie mikroelementy w
wielu przypadkach mogą spełniać
rolę stymulującą lub tłumiaczą,
słowem — być przydatne w lecze-
niu procesów chorobowych. Być
może — mikroelementy zawarte
w pewnych gatunkach nafty za-
wierają taki właśnie zestaw śla-
dowych ilości pierwiastków meta-
licznych...

Najbardziej jednak przekonują-
cą hipotezą, tłumaczącą przypadki
cudownych wyleczeń — nie tylko
przy pomocy nafty — jest teoria
leków „placebo”. Rzecz głównie
zasadza się na niezachwianej wie-
rze pacjenta w skuteczność leków
i metod leczenia. W medycynie
ludowej — szczególnie tej egzo-
tycznej, azjatyckiej czy afrykań-
skiej — mag, szaman czy znachor
podając choremu tajemnicze le-
karstwa, nadaje temu, w gruncie
rzeczy nieskomplikowanemu pro-
cesowi, charakter obrządku. Jest
to więc okadzanie, śpiewy, tańce,
zaklęcia — cały, fascynujący
teatr. I właśnie ten sztafarz po-
trafi tak silnie oddziaływać na
ludzką psychikę, iż chory, przeko-
nany o swoim wyleczeniu, rzeczy-
wiście — w pewnych przypadkach
— jest wyleczony. Najczęściej jed-
nak jest to działanie krótkotrwałe,
nie usuwające prawdziwych przy-
czyn choroby, a jedynie przyno-
szące chwilową ulgę w cierpie-
niach.

Leczenie „placebo” stosuje rów-
nież nowoczesna medycyna. Zda-
rza się, że z jakiś tam powodów
nie można podawać choremu le-
karstwa, które — o czym jest
przekonany pacjent — jest jedy-
nym skutecznym. Sprawdzono
wielokrotnie, że podobny efekt
leczniczy — oczywiście chwilowy
— może przynieść zwykła aspi-
ryna, czy pastylka zawierająca zu-
pełnie obojętne dla organizmu
składniki. Warunek — pacjent
musi być przekonany, że dostaje
właśnie „swoje” lekarstwo...

WIARA CZYNI CUDA

ŁUKASZ ANDRZEJEWSKI



Fot. Krzysztof Raczkowiak

naftą. Rzecz może nie byłaby
 warta szczególnej uwagi, gdyby
nie fakt, iż chorobą leczoną w ta-
ki nieskomplikowany sposób, jest
choroba, na którą praktycznie nie
znaleziono dotąd sposobu i która
jest jedną z najstraszniejszych.
Chodzi o raka.

Leczeniem zajmuje się austriacka
wieloletnia, 50-letnia Paula
Ganner. Podobno sama niegdyś
chorowała na raka, ciężko, prak-
tycznie bez możliwości wylecze-
nia. Takie przynajmniej było zda-
nie lekarzy. Wtedy właśnie miała
sobie przypomnieć, będąc już spa-
ralizowana, iż weterani I wojny
światowej pochodzący z jej miej-
scowości opowiadali, iż widzieli w
Bośni i Hercegowinie ludzi pija-
cych naftę przy najrozmaitszych
dolegliwościach. Spróbowała więc
sama, i oczywiście — jak to zwy-
kle w podobnych historyjkach
bywa — wyleczyła się w ciągu
kilku tygodni. Mało, że się wyle-
czyła, w 11 miesięcy potem rodzi
dziecko, jest honorową krwiodaw-
czynią, lekarze nie stwierdzają w
jej organizmie nawet śladów
strasznej choroby.

Aby jeszcze bardziej umocnić
wiarę w cudowne własności lecz-
nicze nafty, do opowiadania wla-

medycznej. Nie będziemy ich pow-
tarzać za autorem, ponieważ je-
steśmy zdania, iż rozbudzanie na-
dziei bez gwarancji ich realizacji,
jest jedną z największych przy-
war, jaką może być obdarzony
dziennikarz. Sensacja za wszelką
cenę nie jest naszym celem.

Ponieważ jednak nie żyjemy w
izolacji, echa owej sensacji do-
tarły również i do naszego kraju.
Mało, że dotarły, znalazły gorą-
cych orędowników, nawet w świe-
cie lekarskim. Pewna warszaw-
ska lekarka, drogą pism kolporto-
wanych na zasadzie odpisów, go-
rąco propaguje ową metodę, u-
dzielając porad — jak i w jakich
przypadkach popijać tę dość o-
brzydliwą w smaku miksturę.
Niestety, nie ma żadnych danych
statystycznych ile osób skorzysta-
ło z naftowej kuracji i na ile ona
im pomogła. Szkoda — bowiem w
każdym przypadku rzecz byłaby
pożyteczna.

Co na to wszystko lekarze, a
zwłaszcza specjaliści z dziedziny
chemii farmaceutycznej, leko-
chemii? Rzecz podstawowa —
nafta, szczególnie ta polecana, z
frakcji uzyskiwanej w tempera-
turach 100—150 stopni C., po-
 prostu nie jest szkodliwa dla or-

I NA TYM chyba ca-
ła sprawa polega.
Autosugestia, prze-
konanie o nieza-
wodności lekar-
karstwa, odpowiednia aura
niezwykłości, itp. Konkludując
— kto chce niech wierzy. W
każdym razie medycyna tego
nie zabrania... Ale, pomyślimy
— gdyby istotnie do wylecze-
nia ciężkich chorób wystar-
czyła łyżka nafty dziennie, to
pewnie od dawna ludzkość by
o tym wiedziała. Nasi przodko-
wie naprawdę potrafili obser-
wować i wyciągać ze swoich
obserwacji prawidłowe wnio-
ski...

BARAN

21 III—20 IV



W tym roku mogą zapaść poważne decyzje dla wielu młodych osób. Najważniejszy miesiąc dla zakochanych — sierpień i październik. Przez większą część roku będziesz korzystać z dobrej atmosfery. Twoje pomysły i energia w wykonywaniu powierzonych ci spraw wpłyną na umocnienie pozycji. Przez cały jednak rok musisz szczególnie dbać o dobrą współpracę z otoczeniem. W maju i lipcu liczne emocje związane z życiem rodzinnym. Wszystko skończy się dobrze. Urlop zapowiada się bardzo atrakcyjnie, ale pamiętaj — nie bądź zazdrości w kimś bliskim. Finansowo — nie będziesz mieć powodów do narzekania.

BYK

21 IV—21 V



Powinien to być rok pomyślny, ale z koniecznościami istotnego wyboru. Nie sugeruj się podpowiedzią kogoś z otoczenia — decyduj sam. Kwiecień i maj — szczególnie obfite w interesujące wydarzenia. W letnim okresie — satysfakcja i radość związana z dziećmi. W jesieni — dość intensywny tryb życia. Jeśli chcesz wykorzystać wszystkie okazje, jakie pojawią się w tym roku, nie bądź krótkowzroczny, patrz dalej, nie tylko na najbliższy okres. Wielu starań wymagać będzie dom, ale nie pożałujesz. Uważaj na wydatki w kwietniu, październiku i grudniu.

BLIŹNIĘTA

22 V—21 VI



W pierwszym kwartale roku możesz mieć trochę trudności wynikających z braku systematyczności. Zadbaj o swoje zdrowie, szczególnie w lutym i marcu — nie można bezkarnie go nadużywać! Twoje sprawy sercowe dobrze ułożą się w sierpniu i wrześniu, ale grudzień może być szczególnie interesujący. Lato spędzisz dość niezwykle, choć nieco przygodkowo. Dobrze byłoby, abyś przez cały rok dbał o bliskie kontakty także z dalszą rodziną, która może potrzebować twojej pomocy. Ważnym bodźcem w twoim życiu może stać się odwzajemnione uczucie albo szansa na szczęśliwy związek w drugiej połowie października.

RAK

22 VI—22 VII



Zaczniesz działać jakiś nowy i istotny bodziec w twoim życiu, co jest ogromnie ważne, bo doda ci pewności siebie. Najlepszy okres — pełen twojej inicjatywy — w sensie zawodowym: marzec, lipiec, październik i grudzień. Urlop zaplanuj wcześniej, inaczej nie będzie udany. Spotka cię propozycja atrakcyjnego wyjazdu — wiosną lub późną jesienią. W pierwszym kwartale roku — wydarzenie któremu będziesz musiał podporządkować swoje najbliższe zamierzenia, ale radość będzie olbrzymia. Pamiętaj, abyś przez cały rok starał się unikać sprzeczek i konfliktów. Najprawdopodobniej już w połowie roku — nowe możliwości finansowe.

LEW

23 VII—23 VIII



Dużo pracy, ale i sukcesy. Jeżeli wynikną trudności, to tylko w związku z obietnicami, którymi szafujesz dość niebacznie. Uważaj w czerwcu i lipcu, bo możesz zawieść się na kimś, lub na czymś, co pociąga cię świetnymi pozorami. Lato spędzisz atrakcyjnie, choć będzie i trochę zmęczenia rodzinnymi obowiązkami. Bardzo ważne

kami — istotnymi dla ciebie. Może zdarzyć się, że zaczną przynosić sukcesy dotychczasowe dodatkowe zainteresowania. Będzie jednak potrzebna wytrwałość, zwłaszcza w kwietniu, maju i czerwcu. Skrzysz się twoje przyjaźnie. Dojdzie do stabilizacji uczuć. Nawieźesz korzystne kontakty, znajdziesz przyjaciół gotowych do towarzyszenia ci. Twoje — wydawałoby się — hobby da ci nie tylko satysfakcję, ale i korzyści materialne. Musisz wierzyć w swoje szanse — pozwól to na zachowanie niezbędnej równowagi wewnętrznej.

ta passa w pracy. Młode (ale i starsze również) małżeństwa mogą liczyć na udany wrzesień i październik. Będą to miesiące wspólnych projektów dotyczących domu i poważniejszych zakupów. Mimo licznych inwestycji twoje finanse absolutnie nie będą cię absorbować.

KOZIOROŻEC

22 XII—20 I



Podcimesz wiele nowych spraw — szansa będzie ci sprzyjać zwłaszcza w drugiej połowie roku. Pierwsze półrocze upłynie pod znakiem pracowitości i ruchliwego trybu życia. W twoim ręku przez cały rok spoczywać będzie ster domowych spraw i istotne decyzje. Ten rok przyniesie wiele kontaktów towarzyskich. Nowe — nieraz decydujące o przyszłości — przyjaźnie. Dbaj o sprawy, które nie dają się wymierzyć: nastroje, radości, uczucia własne, i otoczenia. Lato może przynieść ciekawe podróże i nie mniej ciekawe znajomości. Gwiazdy przepowiadają ci szczęście w grze lub jakiś zupełnie niespodziewany zysk.

WODNIK

21 I—18 II



W styczniu i lutym — jakiś sukces, ale może nie taki, na jaki liczyłeś. Wśród wielu znanych ci osób zwłaszcza dwie odegrają ważną rolę. Jedną z nich — to ktoś młody, kto cię chwilami drażni. Drugą spotkasz w lecie lub wczesną jesienią. Ten ktoś może cię skłonić lub nawet pomóc w bardzo ważnym dla ciebie przedsięwzięciu. Nowa sytuacja mieć będzie duże znaczenie dla bliskiej ci osoby w domu. Nie będziesz w tym roku narzekać na brak podróży. Niektóre Wodniki mogą spodziewać się wiele radości z dzieci, inne — przeżywać będą wielką miłość, na którą czekały od dawna. Mimo sporych wydatków sprawy finansowe nie będą cię absorbować.

RYBY

19 II—20 III



Nowe obowiązki, choć nietłumie będą miały dla ciebie ogromne znaczenie. Rekompensatę za kłopot stanowić będzie satysfakcja związana z domem. Generalnie poczucie stabilizacji. Zwłaszcza pewnie poczujesz się w drugim kwartale. Pod koniec lipca ciekawe propozycje. Wybierając się na urlop — ani o czasie, ani o miejscu nie decyduj sam. Najbliższa ci osoba też ma coś do powiedzenia. Trzeba nauczyć się we wspólnych chwilach znaleźć wzajemną radość i starać się podtrzymać w momentach wątpliwości. Ważne znaczenie będzie mieć harmonijne współżycie z dalszą rodziną. Spodziewaj się nowych możliwości zawodowych. Dada ci satysfakcję i uzupełni domowy budżet.

GWIAZDY MÓWIĄ
O ROKU 1978



Wierzmy, że Czytelnicy przyjmą ten horoskop z przy-
mrużeniem oka, a losów swoich nie powierzą gwiazdom...

— wrzesień, październik i listopad. Liczne możliwości przed tobą. Być może, nawet zmiana pracy. W listopadzie koniecznie zadbaj o kogoś starszego — nie sprzeczać się, bądź tolerancyjny. W sumie nadchodzi dla ciebie rok szansy — trzeba ją tylko umieć mądrze wykorzystać.

PANNA

24 VIII—22 IX



Dalszy ciąg stabilizacji. Cel będzie wyraźny, a szanse niewątpliwe. Wielu Pannom zaświeci szczęśliwa gwiazda w sprawach sercowych. W marcu wyjdiesz z jakąś ważną sprawą, która zakończy się sukcesem. Wiosna będzie dla ciebie pomyślna, a lato zapowiada się nie mniej ciekawie. Byłoby z korzyścią dla wszystkich, gdybyś nie wymagał dla siebie zbyt wiele. Nie zżymaj się na rady innych i nie lekceważ życzliwości. Jesień będzie pracowita, dość ruchliwa i korzystna także finansowo. Początkowa nieuzasadniona niechęć może stać się ważnym dla ciebie przeżyciem. Zobacysz świat w zupełnie nowych barwach.

WAGA

23 IX—23 X



Będzie to czas zapoznawania się z nowymi dziedzinami i obowiązkami

SKORPION

24 X—22 XI



Będzie to rok sukcesów w sprawach uczuciowych i towarzyskich. Najlepszy okres między lutym a majem lub sierpniem a październikiem. W pracy zawodowej największe szanse w styczniu i marcu, a potem w październiku i grudniu. Na początku roku różne sprawy i formalności prawne — ważne dla ciebie. Możliwość dłuższych i krótszych podróży. Wiele wrażeń, ale rozpatruj propozycje rozsądnie i bardzo wszechstronnie. Nie zapominać o dawnych znajomościach i przyjaźniach. Ktoś pomoże ci wywikłać się z licznych wątpliwości. W chwilach znużenia i nudy nie poddawaj się lekcom o zdrowie. Wyjdzie ci to na korzyść.

STRZELEC

23 XI—21 XII



Pierwszy kwartał wymagać będzie rozwagi. Znajdzie konieczność zastosowania nowych metod i pomysłów. Nie daj się wciągnąć w żadne konflikty. Marzec może przynieść ci sukcesy. W życiu rodzinnym doloż wszelkich starań, aby zdobyć się na obiektywizm. W maju lub czerwcu — najlepszy czas na urlop. Jednak nie później, bo już od lipca zaczną się znakomi-

GAWĘDY HISTORYCZNE

Janusza Chutkowskiego



(3)

WZDUŻ dawnej fosy miejskiej w Głogowie biegnie ulica Wały Bolesława Chrobrego. Ten, który nadał jej tę nazwę (a podejrzewam o to pierwszego wiceburmistrza miasta Adama Królaka, zamilowanego historyka — amatora) trafnie nawiązał do istniejących po dziś dzień (w szczątkowej postaci) tzw. Wałów Śląskich. Te tajemnicze budowle ciągną się na przestrzeni przeszło 100 kilometrów na zachód od Jeleniej Góry w kierunku na Krosno.

Były to na owe czasy potężne fortyfikacje ziemne, wzmocnione fosami i najprawdopodobniej również drewnianą palisadą. Kto zbudował tę ówczesną „linię Maginota”? Obliczono, iż do wzniesienia wałów trzeba było przemieścić 750.000 metrów sześciennych ziemi, nie licząc innych prac. Kto był w stanie zmobilizować taką ilość ludzi i sprzętu? Jaka to władza potrafiła pokierować takim gigantycznym przedsięwzięciem? Kому na koniec było ono potrzebne? Przecież wał ten nie mógł być obsadzony załogą na całej długości. Na to było za mało ludzi. Nie mogło również być mowy o szybkim przetrzucaniu obrońców na zagrożone pozycje. Na dobrą sprawę wał ten mógł być w każdej chwili przekroczony. Po co więc było go wznosić?

Pytania takie zadają sobie historycy już od dziesięcioleci i właściwie nikt jeszcze nie udzielił jednoznacznej odpowiedzi. Spróbujmy więc zastanowić się nad tym raz jeszcze.

Najpierw więc, kto mógł budować? Fortyfikacje te osłaniały od zachodu głównie dwa plemiona Dziadoszan i Trzebowian, a więc dzisiejszych mieszkańców województwa legnickiego i zielonogórskiego. Żadne z nich, pojedynczo, nie było zdolne do tego rodzaju akcji. Razem mogły się na to zdobyć. Ale takie przedsięwzięcie wymaga koordynacji. Być może istniało już na Śląsku jakieś ponadplemienne państwo, na tyle silne i prężne, iż mogło zorganizować taką pracę. To zresztą tylko przypuszczenie, ale bardzo prawdopodobne.

Czy wały nie mogły służyć do obrony? Na zachód od nich zamieszkiwały liczne plemiona Słowian Połabskich. Aż do X wieku Polska nie graniczyła z Niemcami. Ale

już od VIII wieku rozpoczęła się ich ekspansja na wschód. Poszczególne oddziały germańskie mogły już docierać w czasie kolejnych wypadów do granic Dziadoszan, a przede wszystkim docierały do nich groźne wieści o bezwzględnie działającym wrogu, obcym mową i obyczajem, który morduje i niszczy w imię nieznanej wiary. Trzeba się było od niego odgrodzić. A zastrzeżenia historyków, że wałów nie można było obsadzić załogą? Że nie było na to dosyć ludzi? Ależ my chyba nie mamy wyobraźni. Przecież zanim oddziały najeźdźców dotarli do umocnień musiało potrwać wiele dni. A wiadomości o wyprawie? Współcześnie żyjące ludy Afryki (o niskim stopniu rozwoju) potrafia przekazywać dokładne informacje w ciągu niewiele minut na odległość setek kilometrów. A słynny „telefon arabski”? Nie mamy żadnych złudzeń. Zanim oddziały najeźdźców dotarli do wału, właściwy jego odcinek był już obsadzony obrońcami, co więcej znali oni dokładnie każdy ruch przeciwnika i w porę mogli przesunąć swoją siłę. Na tej zasadzie wojował później Bolesław Chrobry, a jeszcze sto lat potem Bolesław Krzywousty. I robili to z powodzeniem.

Tak więc wysiłek włożony w te rozległe fortyfikacje był na pewno celowy. Sądzę, iż nie powinniśmy zapominać jeszcze o jednym aspekcie zagadnienia. Niewiele wiemy o wierzeniach naszych przodków przed przyjęciem chrześcijaństwa. Pewne jest jednak, iż miejsca kultu były zwykle otoczone wałami, które miały znaczenie magiczne. Wszak nie znano wtedy bóstw uniwersalnych. Każde plemię, każda miejscowość, gród, miały swoich bogów, którzy się nimi opiekowali i pod ochroną których znajdowali się jego mieszkańcy. W innym miejscu byli inni bogowie, równie prawdziwi, tylko że obcy i groźni. A bogowie potrafili być bardzo groźni. Przekraczając wał graniczny człowiek pozbawiał się pomocy swoich bogów. Naruszał interesy innych bóstw. To się mogło źle skończyć. Mógł więc wał ochraniać, nawet nie broniony, przed zakusami innych plemion pogańskich? Chyba tak.

Tak się rozpisalem o Wałach Śląskich, a miałem przecież opowiedzieć o naszej granicy zachodniej w początkowym okresie Państwa. Chyba jednak w wałach tych tkwi również jakiś symbol. Wszak tylko z jednej strony, tylko od zachodu usiłowaliśmy się odgrodzić systemem umocnień o prawdziwie nowoczesnym rozmachu. Widać nasi przodkowie dobrze zdawali sobie sprawę skąd grozi największe niebezpieczeństwo. Z sąsiadem Słowianinem można było się pobić, można było doznać od niego wielu krzywd i szkód, ale nawała germańska już wówczas groziła totalną zagładą.

Ochrona granicy zachodniej nie kończyła się na systemie umocnień Wałów Śląskich. Następna linia obrony oparta była o Odrę i Obrę. Rzeki te w owych czasach nie były uregulowane. Po obu stronach ciągnęły się bagna i moczary, które uniemożliwiały przeprawę. Dogodne do przejścia bro-

dy były tylko we Wrocławiu, Opolu, Głogowie, Bytomiu Odrzańskim i Krośnie. Ubezpieczono je grodami. A grody potrafili Słowianie budować po mistrzowsku. Otaczano je wysokimi i stromymi wałami, usypanymi na rusztowaniach z bali drewnianych, układanych w taki sposób, że tworzyły rodzaj skrzyń, wypełnionych ziemią i kamieniami. Bale były zabezpieczone przed wysunięciem przez poprzeczne przekładnice za-

Czy takie umocnienia były potrzebne? W X i XI wieku napór germański na linię Odry był ogromny. Polska liczyła wówczas około miliona mieszkańców. Niemcy — ponad pięć milionów. Mieli przewagę uzbrojenia, w szczególności znacznie więcej ciężkozbrojnej konnicy. Do walki z nami, pod pozorem nawracania na wiarę chrześcijańską, mobilizowano rycerzy z całego Zachodu. A jednak...

PŁONĄCA GRANICA



Wojowie piesi z czasów Bolesława Chrobrego (fragment Drzwi Gnieźnieńskich).

kończone hakami wykonanymi z odgałęzień drzewa. Taka konstrukcja jeszcze dzisiaj mogłaby skutecznie chronić przed ostrzałem artyleryjskim, a wówczas była nie do zdobycia. Ziemnego wału, szerokiego u podstawy na kilkanaście metrów, nie można było skruszyć przy pomocy taranów, nie można było go spalić, porostawało jedynie pisać się po stromym zboczu, pod ostrzałem taków i kuszy, spadających na głowy belek i kamieni, lejącego się akropu i smoły. Samo dojście do grodu wymagało zresztą wielkich zabiegów, pokonania otaczających go bagnistych rozlewisk i fos, na których już wówczas umiano budować zapory i przeszkody utrudniające przejście i zwiększające skuteczność rażenia.

A

JEDNAK nie podzieliliśmy losu plemion połabskich. Germanie nie uczynili z Gniezna i Poznania swoich stolic, tak jak to zrobili ze słowiańskim Braniborem. I jeżeli potrafiliśmy się obronić, to zawdzięczamy to nie tylko męstwu naszych przodków, ale przede wszystkim ich zdolnościom organizacyjnym, umiejętnościom technicznym i konstrukcyjnym ówczesnych inżynierów, którzy potrafili stworzyć tak trudne do zdobycia fortece.



KRZYŻÓWKA — GIGANT

W podwójnym numerze „Konkretów” — krzyżówka z podwójną szansą. Każdy uczestnik naszej świątecznej zabawy może przysłać nawet dwa rozwiązania, albowiem tym razem zamieściliśmy w krzyżówce dwa kupony. Liczymy też na udział całych rodzin. Rozwiązanie krzyżówki polega na wpisaniu zamieszczonych wyrazów do diagramu. Litery z krątków oznaczonych cyframi od 1 do 40 dadzą hasło, które wystarczy nadesłać na adres: Redakcja „KONKRETY”, ul. Armii Czerwonej 4/4, 59-300 Lubin. Termin nadsyłania odpowiedzi upływa 10 stycznia 1978 roku. Rozwiązania należy nadsyłać wyłącznie na kartkach pocztowych opatrzonych kuponem i dopiskiem: **KRZYŻÓWKA-GIGANT**.

Na zwycięzców czekają nagrody ufundowane przez Wojewódzką Komendę Straży Pożarnej w Legnicy i naszą redakcję. Są to bony

PKO wartości: — I — 1000 zł II — 750 zł, III — 500 zł, trzy po 250 zł i dziesięć cennych książek. Życzymy powodzenia!

WYRAZY DO WPISANIA:

15-literowe: BIBLIOTEKARSTWO, INTELEKTUALISTA, INTROLIGATORNIA, JELENIÓGRZANKA.

14-literowe: PERSONIFIKACJA, ROZPUSZCZALNIK.

10-literowe: KWADRATURA, SZTORMTRAP.

9-literowe: AMBASADOR, GWARANCJA, ODBIORNIK, OGLEDZINY, ORTOPEDIA, REPERACJA, REZONATOR, RZEBIARZ, UROCZYSKO, ZABISCIK.

8-literowe: ALEGORIA, ANTONINA, BIELUCHA, DZIAŁACZ, KASKADER, KRASICKI, MACIOWODA, OBOJCZYK, TATERNIK, ZNIWIARZ.

7-literowe: APASZKA, ARIOSTO, BATALIA, GAGARIN, GRUSZKA, INTERNA, KOLEJKA, KURTyna, LEZANKA, MUSZKAT, REKLAMA, RETORTA, ROZKOSZ, SZEWRON, TOMOFAN.

6-literowe: ABAZUR, ACETON, ALOMOR, AMATOR, AMERYK, APOLOG, ARAFAT, ARAGON, AURORA, BIBOSZ, CRONIN, EMPIRE, EPITET, ESTETA, INDEKS, JABŁKO, KANTOR, KARPLE, KOCHER, KOREKS, KRAKÓW, LIWIEC, LOKATA, OBerek, OPITYKA, OSTRZE, PATROL, PIKNIK, PIORKO, POREKA. POSTAW, RALGIN, RANGUN, RATLER, ROBERT, SKUWKA, STATOR, SZORTY, UKWIAŁ, UTOPIA, WALEZY, WEGORZ, WIDAWA, ZDANIE, ZIARNO, ZMIJKA.

5-literowe: AFISZ, ALASZ, AMPER, BARAZ, CZOLG, DERKA, EUROP, FEDRA, INWAR, IRENA,

JUROR, KAFAR, KAKAO, KAWON, KOBUZ, KRYPA, KWARC, LEZAK, LOTKA, MERLA, OCEAN, OKAPI, OPONA, OTAGO, PARYŻ, PEGAZ, PIAST, PROZA, RUGBY, SIDLA, SIŁOS, SKARB, SMREK, SUFIT, SŁASK, WALOR, WISUS.

4-literowe: AGAR, ARKA, AWAL, BANK, CYNK, CZUB, GRAN, HIOB, KAWA, KOSĆ, KOZA, ŁADA, OKNO, REKA, RUFA, RUSK, SADZ, SŁUB, ZWAŁ.

3-literowe: AWO, GAD, GOW, KAT, MAO, OWO, RÓD, RÓW, RWA, UWE.

(pacz)

Nagrody książkowe po 50 złotych za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 49 otrzymują: Zbigniew Fedrus z Kunie, Ewa Szestak ze Złotoryi, Helena Zeler z Chojnowa. Nagrody wysłamy pocztą.

KONKRETY

PROGRAM TELEWIZYJNY * PROGRAM TELEWIZYJNY * PROGRAM TELEWIZYJNY

PIĄTEK 23.XII.77 r.
 9.00 - Telefe.
 12.00 - „Brygada dla spraw różnych” - film sensacyjny prod. rum.
 16.30 - Dziennik.
 17.00 - „Zapraszamy na stadiony”.
 17.30 - „Ula z I B”.
 17.55 - „Motoryzacja i turystyka”.
 18.00 - Film TV na świecie: „Fantazja” - film muzyczny prod. radz.
 19.00 - Dobranoc dla najmłodszych i program dla młodzieży.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.30 - Robotnicze losy: „Odbudowa” z cyklu „Gwiazdy patrzą na nas”.
 21.30 - Teatr TV „Miejsce zwane Opinogóra” - cz. III pt. „U stóp moich krain”.
 22.00 - Koncert fortepianowy Edwarda Griega gra Artur Rubinstein.
 23.30 - Dziennik.

PROGRAM II

15.40 - „Pegaz”.
 16.25 - „Gdzie jest raj w ulicznym pyle?” - reportaż.
 16.40 - „Tajemniczy świat przyrody”.
 16.40 - Wrocławski Blok Rozmaitości.
 19.00 - Dobranoc dla najmłodszych.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.30 - Turystyka i wypoczynek.
 21.00 - Sytuacje: „Tradycje rodzinne”.
 21.30 - 24 godziny.
 21.40 - Klub jazzowy Studia Gama.
 22.30 - „Opowieść Starszego Pana” - „Ogród”.
 22.30 - „Za kulisami marzeń” - dramat psychologiczny prod. węg.
 23.40 - Jez. rosyjski.

SOBOTA 24.XII.77 r.

9.00 - Telefe.
 12.00 - „Fantazja” - film muzyczny prod. radz.
 14.10 - Film dla dzieci.
 15.30 - „Król i złodziej” - film przygodowy prod. ang.
 16.45 - „Czarna zima” - film folklorystyczny.
 17.15 - „Disneyland” - filmy animowane.
 18.15 - „Piórkiem i węglem”.
 18.40 - „Kolegi przy choince”.
 19.00 - Wieczorynka.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.30 - Teatr TV Aleksander Fredro „Trzy po trzy”. Reż. Adam Hanuszkiewicz. Obsada: Fredro - Andrzej Łapiński i oraz: Jadwiga Jankowska, Anna Chodakowska, Daniel Obyrchski, Krzysztof Kolberger i inni.
 22.20 - Kino Nocne: „Vera Cruz” - western prod. amer. Reż. Robert Aldrich. W rolach głównych: Gary Cooper, Burt Lancaster i Denis Delaney.
 23.30 - „Kolegi przy choince”.

PROGRAM II

FILMY POD CHOINKĘ:
 12.25 - „Dziadek do orzechów”. Reż. Hanna Bielńska.
 15.05 - „Król Maciusz I”. Reż. Wanda Jakubowska.
 16.55 - „Historia żółtej ciemki”. Reż. Sylwester Chęciński.
 18.10 - Teatr TV. Adam Mickiewicz „XII księga „Pana Tadeusza”.
 19.00 - Wieczorynka.
 20.30 - „Rękopis znaleziony w Saragossie” - romans przygodowo-fantastyczny wg powieści Jana Potockiego. Reż. Wojciech Haas.

NIEDZIELA 25.XII.77 r.

9.00 - „Mój przyjaciel delfin” - film przygodowy dla dzieci.
 10.50 - Wielkie bitwy historii „Grunwald”.
 12.00 - W starym kinie: „Mała księżniczka” - film z Shirley Temple.
 13.55 - Losowanie Małego Lotka.
 14.45 - „Przeboje roku” - piosenki z festiwalu: Opole 77, Sopot 77, i Kolobrzeg 77.
 14.10 - STUDIO 2.
 16.20 - „TELE-ECHO”.
 17.30 - „Hibernatus” - komedia prod. włosko-franc.
 19.00 - Wieczorynka.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.30 - „W obronie własnej” - odc. XI z serii „Polskie drogi”.
 22.05 - „Godzina miłości” - wido-wisko literacko-muzyczne.
 22.15 - „Pastorałki”.
 22.25 - „Ej nom, ej - pastorałki”.
 22.55 - Gwiazdy festiwalu.
 23.25 - Kino nocne: „Kochany lo-buz”.

PROGRAM II

BLOK FILMOWY
 9.00 - „Przygody Tomka Sawyera” - cz. I - film prod. rumuński.
 10.35 - „Dobry wojak Szwajk” - cz. I filmu czes.
 12.20 - „Wojak Janos” - film ani-mowany.
 13.45 - „Faraon” - film polski.
 16.45 - „Hiszpański ogrodnik” - ang. dramat obcy.
 18.25 - „Komedia pomyłek” - nowe-la film.
 20.30 - „Don Kichot” - film radz.
 22.05 - „W kralnie pieszczonych go-lab-ków” - dramat obcy. NRJ.
PONIEDZIAŁEK 26.XII.77 r.
 9.00 - „Mustang” - film dla dzieci prod. radz.

10.10 - Koncert gwiazd Operowego „Qui pro quo”.
 11.00 - „Disneyland” - filmy ani-mowane.
 12.00 - Tylko w niedzielę.
 12.05 - „Gwiazda i gwiazdki” - Ire-na Santor.
 12.30 - Legendy aktorskie - Pola Negri.
 12.50 - Adam Hanuszkiewicz - mój pamiętnik.
 12.55 - „Elza z afrykańskiego buszu” - odc. III.
 13.45 - „Prawda i legendy” - Jan Chryzostom Pasek.
 14.20 - Dawno - niedawno.
 14.30 - „Nie napiszemy o miłości” - pio-sienki poetyckie w wyk. Michała Markowskiego i Władysława Kowal-skiego.
 14.50 - Bielski Disneyland - rep.
 15.20 - Gustaw Holoubek - „Mój pamiętnik”.
 15.25 - „Gejsza” - film ameryk.
 17.15 - Tadeusz Lomnicki - „Mój pamiętnik”.
 17.20 - „Męczyzna samotny” - pio-senki B. Kraftówny i B. Łazuki.
 17.50 - Porozmawiajmy o Gołasiu.
 18.20 - Ryszard Wojna - „W pro-jektorze wspomnień”.
 18.40 - Koledzy Polskiej walczącej - wid. muz.
 19.00 - Wieczorynka.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.35 - „Gra wojenna czyli na kwa-terze” odc. „Czterdziestolatek”.
 21.40 - Dawno, niedawno.
 21.45 - Teatr TV Michał Bałucki: „Dom otwarty” - wystąpią K. Jędrusi-k, B. Wrzesińska, W. Kowalski, K. Kaczor.
 21.50 - „Uśmiech deszczu” - kabaret Andrzeja Strzaleckiego.

PROGRAM II

BLOK FILMOWY - adaptacje kła-syki literackiej.
 9.00 - „Śmierć Indianina” - cz. II „Przygód Tomka Sawyera”.
 10.15 - „Przygody dobrego wojaka Szwajka” - cz. II „Melduję posłu-żenie”.
 11.50 - „Romeo i Julia” - film radz.
 13.20 - „Pan Tomzik” - humoreska według Haska.
 14.00 - „Córka poczmistrza” - film radz.
 15.10 - „Czarna Carmen” - film USA.
 16.50 - „Dziwne losy Jane Eyre” - melodramat ang.
 18.30 - „Mał pod łóżkiem” - no-wela TV.
 19.00 - Wieczorynka.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.30 - „Autor Beltraflo” - film franc.
 21.20 - „Transport cenniejszy niż zło-ty” - wojenny dramat USA.

WTOREK 27.XII.77 r.

9.00 - Telefe.
 11.30 - „Polskie drogi” odc. ... (ostatni) pt. „W obronie własnej”.
 15.10 - „Bajka czy nie bajka czyli trzy przygody Karoliny” - święteczny program artystyczny dla dzieci.
 16.20 - Dziennik.
 16.30 - Studio TV młodych - „Szansonada”.
 17.10 - „Kółko i krzyżyk” - tele-turystyka.
 17.25 - Magazyn motoryzacyjny.
 17.45 - „Interstudio” - rok 1977 w kraja-ch socjalistycznych.
 18.15 - W starym kinie „Ze świata burleski”.
 19.00 - „Dobranoc dla najmłodszych”.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.30 - „Droga przez mękę” - odc. IX z serii „Polskie drogi”.
 21.40 - „Świadkowie”.
 22.00 - Andrzej Strumiłło i jego goście: Dominik Horodyński, Andrzej Wajda, Miło Kurtis, Irena Szczepańska, Anna German i Mieczysław Świą-cicki.
 22.45 - „Krzesany” - reportaż.
 23.05 - Dziennik.
PROGRAM II
 14.55 - Jez. angielski.
 15.30 - Teatr TV. M. Bałucki „Dom otwarty”.
 17.10 - Lucjan Kydryński przedsta-wia: „Petula Clark zaprasza do tań-ca”.
 17.45 - „Wielec znani i nieznani”.
 18.25 - „Kto pyta nie błądzi” - tra-dycje i obyczaje noworoczne.
 18.40 - Wrocławski Blok Rozmaitości.
 19.00 - Dobranoc dla najmłodszych i program dla młodzieży.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.30 - Wtorek melomana „Muzyczne prezenty gwiazdkowe”.
 21.30 - 24 godziny.
 22.40 - „Inicjatywy”.
 22.65 - Klub Filmowy „Renegat” - film fab. prod. ang.

ŚRODA 28.XII.77 r.

11.40 - „Droga przez mękę” - odc. 9 pt. „Roszczeń”.
 16.20 - Dziennik.
 16.30 - TV Klub Seniora.
 17.00 - „Entleczek-słowniczek”.
 17.30 - Losowanie Małego Lotka.

17.45 - „Radur”.
 18.00 - „Z ziemi polskiej” - „Pol-skie ślady na indyjskiej ścieżce”.
 18.30 - „Świat, który nie może za-ginać”.
 19.00 - Dobranoc dla najmłodszych.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.30 - Sytuacje rodzinne: „Rytm serca” - dramat obyczajowy z udziałem Elżbiety Barszczewskiej, Antoniny Gordon-Góreckiej, Andrzeja Szalaw-skiego i in.
 21.35 - „XYZ” - cz. I.
 22.15 - Dziennik.
 22.30 - „XYZ” - cz. II.
PROGRAM II
 15.25 - Jez. francuski.
 16.00 - „Z bratnich stolic”.
 16.30 - „Bardzo długa sprawa” - film prod. radz.
 17.55 - „Debiuty” - Małgorzata Ma-liszewska”.
 18.10 - „Latający Holender”.
 18.40 - Wrocławski Blok Rozmaitości.
 19.00 - Dobranoc dla najmłodszych.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.30 - „Loza”.
 21.10 - Studio Sport.
 22.10 - Klub Jazzowy Studia Gama przedstawia „Jazz Jamboree 77”.
 22.50 - 24 godziny.
 23.00 - Jez. angielski.

CZWARTEK 29.XII.77 r.

11.40 - „Czterdziestolatek”.
 16.20 - Dziennik.
 16.30 - „Spora gór i rzek”.
 17.00 - „Ekrany z bratkiem”.
 18.00 - Reportaż wojkowy.
 18.20 - „Sonda”.
 19.00 - Dobranoc dla najmłodszych i program dla młodzieży.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.30 - „Kojak” - „Była cudowna dziewczyna” - film prod. USA.
 21.25 - Pegaz.
 22.00 - Klub Fantastyki „Ludzie i gwiazdy”.
 22.30 - „Kalejdoskop z Jerdanką Christową”.
PROGRAM II
 15.00 - Jez. rosyjski.
STUDIO BIS:
 16.00 - Goście Studia Bis.
 16.15 - „Droga do Argentyny”.
 16.30 - „Spotkanie z Aleksandrem Bardim”.
 17.45 - Goście Studia Bis.
 17.50 - Wyścigi konne na świecie”.
 18.10 - Goście Studia Bis.
 18.15 - „Sarth and fire”.
 18.40 - Wrocławski Blok Rozmaitości.
 19.00 - Dobranoc dla najmłodszych.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.30 - Goście Studia Bis.
 20.35 - „ABBA w Studio 2”.
 21.15 - Goście Studia Bis.
 21.20 - „Nastrolej”.
 22.20 - 24 godziny.
 22.30 - „Kabarecik Olgi Lipińskiej”.
 23.05 - „Rock Studia 2”.
 23.20 - Jez. francuski.

PIĄTEK 30.XII.77 r.

11.30 - „Za kulisami marzeń” - film prod. węg.
 16.20 - Dziennik.
 16.30 - „Zapraszamy na stadiony”.
 17.00 - „Znacie? to posłuchajcie”.
 17.30 - Poradnik zmotoryzowanego turysty.
 17.40 - „Serenada z 12 piętra” - film prod. rumuński.
 18.50 - Wystąpienie ambasadora So-cjalistycznej Republiki Kuby w Pol-sce z okazji święta narodowego Kuby.
 19.00 - Dobranoc dla najmłodszych.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.30 - „Robotnicze losy” - „Gwia-zdy patrzą na nas”.
 21.30 - „Sygnaly filmowe”.
 22.00 - Studio Sport - turniej cze-rech skoczni.
 22.30 - Dziennik.
 22.45 - „Muzyczny zachód” - pro-gram muzyczny.
PROGRAM II
 16.30 - Turystyka i wypoczynek.
 17.00 - Dzień kubański w TWP.
 17.05 - „Santiago de Cuba” - re-portaż.
 17.20 - „Juventud - znaczy miłość” - progr. public.
 17.40 - „Fantazja 2000” - progr. mu-zyczny z udziałem wybitnych pio-senkarzy kubańskich.
 18.00 - „Mar - morze, łączy i zbliża ludzi” - reportaż.
 18.20 - Sopot 1977 - reportaż z fe-stiwalu sopockiego - występy pio-senkarzy kubańskich.
 18.40 - Wrocławski Blok Rozmaitości.
 19.00 - Dobranoc dla najmłodszych.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.30 - „Havana” - reportaż.
 20.50 - Studio Sport.
 21.15 - „Rum. cygara, varadero” - reportaż.
 21.25 - „Fantazja 2000” - program muzyczny.
 21.40 - „Historia baletu kubańskie-go” - film z udziałem primabaleriny Alicji Alonso.
 23.00 - Jez. rosyjski.

SOBOTA 31.XII.77 r.

11.30 - „Serenada z 12 piętra” - film prod. rum.
 14.25 - Dziennik.
 14.35 - „Kołacz szczęścia” - baśń dla dzieci.
 15.45 - „Zabawa na 102” - komedia muzyczna a właściwie nieustający koncert muzyki jazzowej w reżyserii Richarda Lestera.
 17.00 - Studio Gama: „Wariacje na temat gamy”.
 17.20 - „Opowieści nocy sylwestro-wej” - bajka hinduska.
 17.40 - „Wacus” - film archiwalny z udziałem Adolfa Dymyzy.
 18.45 - Piosenka Studia Gama.
 18.50 - Losowanie Toto-Lotka.
 19.00 - Wieczorynka.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.00 - PRZEMOWIENIE NOWORO-CZNE.
 20.15 - „Kristian Zimerman gra walcę Fryderyka Chopina”.
 20.30 - Studio Gama: „Opowieści nocy sylwestrowej” - bajka eskimoska.
 20.45 - „Dulscy” - film prod. pol-skiej.
 22.15 - „Opowieści nocy sylwestro-wej” - bajka eskimoska.
 22.25 - „Naprawdę Raquel” - recitał aktorski E. Welch w sprawie tea-tru marionetek.
 23.20 - „Opowieści nocy sylwestro-wej” - bajka koreańska.
 23.30 - „Melodie przed północą”.
 23.50 - „Ballada polska a program muzyczny”.
 00.00 - „Melodie po północy”.
 00.40 - „Opowieści nocy sylwestro-wej” - bajka japońska.
 00.55 - Rewia sylwestrowa - z u-działem artystów Teatru Muzycznego w Gdańsku i gości.
 01.50 - Rewia przebojów Studia Ga-ma - Krystyna Sienkiewicz prezen-tuje w żartobliwy sposób czołowych piosenkarzy.
 02.55 - „Brasilliana” - program roz-rywkowy.
PROGRAM II
 Blok filmowy: „Sylwestrowy Coc-ktail”.
 16.15 - „Pechowy Sylwester” - film prod. włoskiej.
 17.50 - „W co się bawić” - film prod. rum.
 19.00 - Wieczorynka.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.00 - PRZEMOWIENIE NOWORO-CZNE.
 20.15 - „Kristian Zimerman gra walcę Fryderyka Chopina”.
 20.30 - „Królowa tańca” - film mu-zyczny prod. USA.
 22.15 - „Fred Astaire i Liza Minelli” - program muzyczny.
 22.25 - „Przesun się kochanie” - film prod. USA.
 23.55 - „Gustaw wita Nowy Rok” - film animowany prod. węg.
 00.00 - „Toast noworoczny”.
 00.05 - „Śpiewa i tańczy Sylvie Var-tan”.
 00.25 - „Ostatni wagon” - film prod. USA.
 22.15 - „Fred Astaire i Liza Minelli”.
 02.15 - „Ok patron” - komedia sen-sacyjna prod. franc.

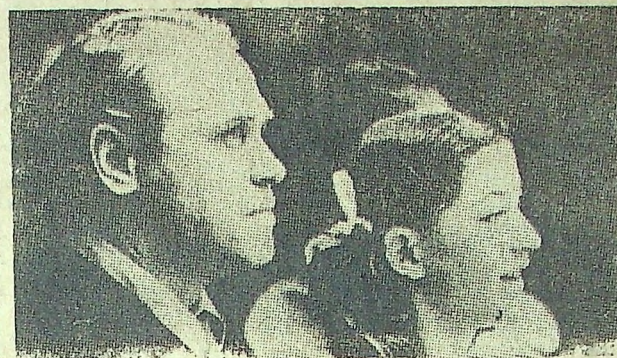
NIEDZIELA 1.1.78 r.

9.00 - „Auto, skrzypce i pies Kleks”.
 11.05 - „Tropami mitów” - pro-gram St. Szwan-Bronikowskiego.
 11.45 - Dziennik.
 12.15 - Koncert noworoczny z Wie-dnia (transmisja bezpośrednia).
 13.40 - „Gwiazdy w kregu areny” - galowe przedstawienie z cyrku z udziałem Josephiny Baker, Isabelle Adjani, Sylvii Vartan i in. Reż. Jean-Claude Brialy.
 15.05 - Losowanie Dużego Lotka.
 15.15 - Studio Sport.
 16.15 - „Disneyland”.
 17.25 - Teatr Komedi - „Króli-czek”. Wystąpią: Ewa Żukowska, An-na Seniuk, Hanna Stankówna, Marian Kociniak, Andrzej Zaorski i in.
 19.00 - Wieczorynka.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.30 - Film z serii „Czterdziestola-tek”.
 21.45 - Studio Sport. Turniej cze-rech skoczni.
 22.00 - „Markiza, kochanka, char-main” - przygody Arsena Lupina.
PROGRAM II
 Blok filmowy „Noworoczny relaks”.
 10.00 - „Pierwszy śnieg” - nowela.
 10.40 - „Melodie przedmieścia” - film prod. radz.
 12.20 - „Droga Brigitte” - film fab. prod. USA.
 14.00 - „Halo, taxi” - film prod. NRJ.
 15.20 - „Źródło” - nowela.
 15.40 - „Honor dziecka” - film prod. polskiej.
 16.45 - „Słodka Charity” - film prod. USA.
 19.00 - Wieczorynka.
 19.30 - Wieczór z dziennikiem.
 20.30 - „Czy pasujemy do siebie kochanie?” - film prod. czes.
 22.10 - „Nakia” - film seryjny prod. USA.
 TWP zastrzega sobie możliwość zmian w programie.



TYGODNIK Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch”. WYDAWCA: Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe, ul. Pod-wale 62, 50-950 Wrocław. REDAGUJE zespół w składzie: Krzysztof Dębek, Włodzimierz Kisil (redaktor naczelny), Andrzej Łapiński, Zygmunt Łuszcz, Czesław Pańczuk, Elżbieta Pomorska (redaktor techniczny), Krzysztof Raczkowski (fotoreporter), Maria Samborska sekretarz redakcji), Anna Smolińska (zastępca redaktora naczelnego), Anna Stokrocka. ADRES redakcji: 59-300 Lubin, ul. Armii Czer-wonej 4/4. TELEFONY: sekretariat redaktora naczelnego - 42-260, sekretarza redakcji - 42-870 i administracja - 42-370. OGŁOSZENIA drobne przyjmowane są codziennie w godzinach pracy redakcji w Lubinie (ul. Armii Czerwonej 4/4), w Legnicy (Rynek 51, tel. 24-146). IN-FORMACJI o warunkach prenumeraty udzielają placówki RSW „Prasa-Książka-Ruch”, urzędy pocztowe oraz listonosze. DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Wrocław, ul. Piotra Skargi 3/5. Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega się również prawo skracania materiałów nie zamówionych. Numer indeksu: 36272

Najdłuższe szyje na świecie mają kobiety z plemienia zamieszkującego północną Burmę. Obyczaj miejscowy nakazuje zakładanie dziewczętom metalowych obrączek, które mają podkreślać ich urodę. Im ich więcej, tym kobieta piękniejsza i wartościowsza. Bywa więc, że szyje ich mają przeszło 40 cm. Tę raz nałożoną ozdobę kobiety muszą nosić całe życie.



Stanisław Aleksiejewicz Żuk jest trenerem, który w łyżwiarstwie figurowym ma dziś największe sukcesy na świecie. Radzieckie pary sportowe — przez niego szkolone — stają od lat na najwyższym podium. Od niedawna Stanisław Żuk trenuje także zawodników jeżdżących indywidualnie. Wszyscy jego wychowankowie zajmują wysokie lokaty na olimpiadach i mistrzostwach. Ten najwyższej klasy trener (42 lata) zaczynał

sam jako zawodnik jazdy szybkiej na lodzie, przez przypadek trafił do lyżwiarstwa figurowego i po kilku sezonach jazdy parami poświęcił się całkowicie szkoleniu. Pracuje bez wytechnienia, ale ze swych podopiecznych także wyciska wszystko na co ich stać. Jest ogromnie wymagający i prawie nie zna litości. Jego recepta na sukces jest prosta: tempo, tempo i jeszcze raz tempo.

Kto sam nie wie, czego chce, musi przynajmniej
wiedzieć, czego chcą od niego inni.

Włoch mieszkający stale w Monachium — Benito Fiorente, znalazł się w nie lada tarapatach. Ma dwie profesje, właściwie nie do pogodzenia. Jako śpiewak operowy powinien większość czasu spędzać w teatrze, jako sędzia piłkarski — na zielonej murawie. Publiczność ceni głos i umiejętności aktorskie Fiorenta, jakie zaprezentował w „Balu maskowym” czy w „Don Kichocie”, ale chętnie widzi go także na boiskach, gdyż jego werdykty są mądre i sprawiedliwe, zaś sposób prowadzenia meczu pełen



Amerykański psychotera-
peuta Samuel Dunkell na-
podstawie pozycji jaka-
bieramy w czasie snu, o-
kreśla nasz stan psychiczny,
stosunek do życia i do ludzi.
Pod uwagę bierze położenie
ciała krótko przed przebu-
dzeniem, ponieważ nawet
najlepiej śpiący zmienia je
w ciągu nocy 20—25 razy.
Ludzie smutni i nerwowi
nawet 100 razy. Co i roku
życia każdy ma już własną,
zasadniczą pozycję snu.
Zmienia ją tylko wtedy, gdy
przeobrażeniu ulega cała je-
go osobowość. Oto kilka
przykładów z książki dra
Dunkella:

1. Pozycja najlepsza. Tak śpią ludzie prawie idealni, ale mało ich. Zwykle przybierają ją modelki reklamujące materace i bieliznę pościelową. 2. Kto tak śpi, ma zahamowania. Nie potrafi dzielić swych trosk ani radości. Szuka opieki, jest niepewny i podatny na wpływy otoczenia. 3. Na plecach śpią indywiduallności przekonane, że ze wszystkim się wókol nich kręci. Pewni siebie, odważnie patrzą światu w oczy, ciekawi, co ma im do zaoferowania. Bywają arogancy. 4. Tak śpi większość. To ludzie otwarci, niebojętni, potrafia się angażować w sprawy otoczenia. 5. Pozycja mumii drażdzi przestraszonych. Stoją na uboczu, boją się nowego, najchętniej w ogóle usunęliby się ze wszystkim z oczu. 6. Na brzuchu śpią dokładni i punktualni. Nie lubią niezaplanowanego, zaskoczeń, najchętniej wszystkiego domniawaliby sami.

W zachodnioniemieckiej „Stuttgarter Zeitung” ukazało się ogłoszenie: Urzędnicy policji, nawykli do pracy w godzinach nadliczbowych,

wynagradzani poniżej rzeczywistych zasług, bez szans na awansowanie, szukają stałego zajęcia w prywatnych przedsiębiorstwach przemysłowych. Może być ochrona osobista.



Na fali retro - w starym kinie. Ekran całego świata pełne są dawnych dobrych filmów, które kiedyś wzruszały naszych przadków, a dziś stanowią nie najgorszy biznes dla właścicieli podupadających kin. Do najczęstszniej wyświetlanych; w Ameryce należą wszystkie komedie muzyczne z udziałem Freda Astaire'a i Cyd Charisse. Ta niezrównana para aktorów nadal fascynuje swoim tanecznym kunsztem. Cyd Charisse, 53-letnia pani, która już dawno wycofała się z czynnego życia artystycznego, na tej fali znów wypłynęła. W reklamie, jaka wokół jej filmów obecnie się robi, zwrócono bowiem uwagę na jej nadzwyczajne nogi. Co się podkreśla - nogi nadal tak zgrabne jak przed 30 laty. Zapytana, co robi, aby zachować taką świetną formę, Cyd odpowiedziała: Kompletnie nic.



Kto puka? — Gwiazdka!